

Gdańsk,
moje miejsce bez granic

Gdańsk,

moje miejsce bez granic

pod redakcją

prof. Marii Mendel

ilustracje

Daniel Krajnik

Gdańsk, 2015 rok

SPIS TREŚCI

Słowo od Prezydenta Miasta Gdańska Pawła Adamowicza	7
<i>Pracownicy Uniwersytetu Gdańskiego</i> <i>prof. Maria Mendel, dr Marcin Boryczko</i> Gdańsk, moje miejsce bez granic. O konkursie, który zapoczątkował naukowe badanie	9
<i>prof. Maria Mendel</i> Laureaci konkursu – laudacje Prezydenta Miasta Gdańska	20
Prace konkursowe	23
<i>Magdalena Bielecka</i> Mój Gdańsk, moje miejsce bez granic	25
<i>Samuel Kozłowski</i> Gdańsk, moje miejsce wyjątkowe	27
<i>Daniel Krajnik</i> Gdańsk – Cardiff. O miejscu pomiędzy miejscami	35
<i>Patrycja Łapińska</i> Miejsce utkane z chwil życia	61
<i>Magdalena Mastykarz</i> O Gdańsku, czyli o ludziach, dla których nie ma granic	69

<i>Anna Petruczyńnik</i>	
Gdańsk bez granic: woda, 60% masy ciała i specjalne miejsce w sercu ...	79
<i>Milena Rudzińska</i>	
Gdańsk, moje miejsce bez granic: pismo w życiowej sprawie	84
<i>Agnieszka Rzeźniowiecka</i>	
Gdańsk, moje miejsce wolności	89
Stypendyści Fahrenheita – biogramy autorów	93
Załącznik: Odezwa konkursowa	96

Drodzy Państwo,

oto niezwykła publikacja, której tytuł nieprzypadkowo brzmi „Gdańsk, moje miejsce bez granic”. Jest to bowiem pokłosie konkursu na pisemną wypowiedź o charakterze biograficznym pt. „Gdańsk, moje miejsce bez granic – Gdańsk, my place with no border”. Konkurs ogłosiliśmy w związku z jubileuszem 10-lecia Stypendiów Naukowych Prezydenta Miasta Gdańska im. Gabriela Daniela Fahrenheita.

Program stypendialny ruszył w 2005 roku z mojej inicjatywy i już od dziesięciu lat Miasto Gdańsk (jako jedyne w Polsce!) przyznaje stypendia na studia za granicą dla najzdolniejszych absolwentów szkół ponadgimnazjalnych, będących mieszkańcami naszego miasta. Stypendium umożliwia im podjęcie oraz kontynuowanie studiów na renomowanych uczelniach zagranicznych. Początkowo stypendia były przyznawane gdańskim absolwentom matury międzynarodowej, jednak od sześciu lat mogą się o nie ubiegać również osoby legitymujące się maturą polską i wybitnymi osiągnięciami.

Każdy z ponad trzystu dotychczasowych laureatów stypendium nie tylko wypełnia zalecenia regulaminu, w którym zapisaliśmy, że „stypendysta ma obowiązek zdobywania wiedzy i umiejętności, a także reprezentowania i promowania Gdańska na uczelni oraz podejmowania pracy wolontariackiej”. Każdy z nich nie tylko się uczy i pracuje społecznie, lecz także pisze swoją historię. Kilka takich historii zaprezentowanych jest właśnie w tej publikacji.



Zachęcam Państwa do przeczytania tego, co o Gdańsku mają do powiedzenia ci młodzi ludzie. Jednocześnie dziękuję stypendystom, którzy wzięli udział w konkursie oraz wszystkim, dzięki którym już dekadę przyczyniamy się wspólnie do tworzenia przyszłych elit intelektualnych nie tylko Gdańska, ale całego kraju.

Przewodniczący Kapituły
Prezydent Miasta Gdańska



Maria Mendel
Uniwersytet Gdański
Marcin Boryczko
Uniwersytet Gdański

Gdańsk, moje miejsce bez granic. O konkursie, który zapoczątkował naukowe badanie

WPROWADZENIE

Pomysł konkursu zrodził się w związku z przygotowaniem do X edycji Stypendium Naukowego Prezydenta Miasta Gdańska im. G.D. Fahrenheita w roku 2014. Kapituła do spraw Stypendium rozważała rozmaite scenariusze, wśród których niezmiennie pojawiało się zaciekawienie losami Stypendystów, w szczególności ich osobistym doświadczeniem studiowania poza Polską, rozwijaniem zainteresowań, problemami i możliwościami, roztaczającymi się przed nimi po zakończeniu studiów. Obchody jubileuszu miały zatem bezwzględnie stawiać w centrum uwagi samych Stypendystów, koncentrując się na biograficznym wymiarze ich osiągnięć. W takich okolicznościach zrodziła się koncepcja konkursu na opowieść o własnym studiowaniu za granicą, snuta swobodnie, ale koniecznie z „gdańskiej perspektywy”, konkretnie: z miejsca startu na te studia, czyli z macierzystego Gdańska. Miasta, które – jak to ujmowano w dyskusjach – od czasów Heweliusza wysyłając swoją najbardziej utalentowaną młodzież na zagraniczne studia, rozsiewa się za ich pośrednictwem po świecie. Wielowymiarowość tej relacji pomiędzy Gdańskiem, jego Stypendystami i światem, w który ruszają oni na studia, stanowiła przedmiot szerszej

refleksji, której członkowie Kapituły nierzadko dawali wyraz, akcentując wzajemność w zaspokajaniu potrzeb rozwojowych¹. Stąd już tylko krok do myślenia o braku granic miasta, które rozsiewa się w umysłach studentów i świecie, do którego trafiają. *Gdańsk, moje miejsce bez granic*, jako szyld odezwy konkursowej i zaproszenia dla „Stypendystów Fahrenheita”, upowszechniany był od lutego 2015 roku.

ORGANIZACJA BADANIA

Koncepcja konkursu zakładała dwojaką analizę zgłoszonych do niego prac. Z jednej strony miała to być – wynikająca z lektury – wymiana opinii członków Kapituły i jednocześnie jurorów. Z drugiej, myśląc o ewentualnych dalszych badaniach i studiach wokół – obiecujących naukowo – wypowiedzi Stypendystów biorących udział w konkursie, już w treści ogłaszającej go odezwy (zob.: załącznik) informowano o badawczym charakterze analiz i zapowiadano publikację.

W związku z tym powstał Zespół Badawczy, który pod kierunkiem prof. Marii Mendel, odpowiedzialnej za projekt badania i jego realizację, do dzisiaj pracuje na materiale badawczym pozyskanym w ramach konkursu *Gdańsk, moje miejsce bez granic*.

W pierwszej fazie badania w Zespole pracowało dwoje badaczy z Uniwersytetu Gdańskiego, autorów tego tekstu. Ta właśnie faza jest w nim raportowana.

W kolejnych fazach Zespół pracował będzie w pełnym składzie, który aktualnie można przedstawić jako czteroosobową grupę badaczy (w kolejności alfabetycznej): dr Marcin Boryczko, dr Dorota Jaworska, Piotr Kowalczuk, prof. Maria Mendel.

Pierwsza faza badawczych analiz nastąpiła w okresie 13 lipca – 23 sierpnia 2015 roku, kiedy Zespół zapoznał się z pracami zgłoszonymi na konkurs. Stanowiły one materiał badawczy, przedstawiony – zgodnie z wymaganiami określonym w *Odezwie Konkursowej* – w dwóch wersjach językowych, po polsku i po angielsku. Analizie badawczej poddawana

¹ Między innymi, przemówienia Przewodniczącego Kapituły, Prezydenta Miasta Gdańska, Pawła Adamowicza oraz jej członków, profesora Janusza Limona i profesor Marii Mendel, inaugurujące kolejne edycje Stypendium Naukowego im. G.D.Fahrenheita.

była wersja polskojęzyczna. To – przedstawiane w całości, w drugiej części książki – zgłoszone na konkurs prace ośmiorga młodych gdańszczan:

Praca nr 1, autorka: Magdalena Bielecka

Praca nr 2, autor: Samuel Kozłowski

Praca nr 3, autor: Daniel Krajnik

Praca nr 4, autorka: Patrycja Łapińska

Praca nr 5, autorka: Milena Rudzińska

Praca nr 6, autorka: Magdalena Mastykarz

Praca nr 7, autorka: Anna Petruczynik

Praca nr 8, autorka: Agnieszka Rzeźniowiecka.

Wszyscy autorzy korzystają z dofinansowania Miasta, pozwalającego im studiować za granicą. Jak wiadomo z tekstów otwierających ten tom, stypendium w ten sposób zorientowane, to historyczna kontynuacja kilkusetletniej, gdańskiej tradycji, a współcześnie – wyjątkowy w porównaniu z innymi miastami – przejaw lokalnej polityki rozwojowej.

Zawołanie konkursu odsyła zarówno do refleksji biograficznej – o życiu i uczeniu się, jako biografii – (Lalak, 2010), i do „uprzestrzennionej” myśli społeczno-pedagogicznej, opierającej się na założeniu wielorakości znaczeń i autokreacyjnej roli przestrzeni i miejsc² (pedagogiki miejsca), jak do pedagogiki pamięci, przywołanej niemal automatycznie przez biograficzny, narracyjny charakter konkursowych wypowiedzi (Demetrio, 2009; Dominicé, 2006; Mendel 2006; Theiss, 2000, in.). Zespół Badawczy przyjął tę perspektywę, jako odniesienie teoretyczne podjętego badania.

Metodologia badania ma charakter jakościowy z uwagi na rodzaj materiału badawczego (jednostkowe biografie, opisy indywidualnego doświadczenia) oraz stawiane w badaniu cele, problemy i metody analiz.

Cele, to – m.in. – kontekstowy, zawierający indywidualne koncepcje opis uogólnionego doświadczenia edukacyjnego związanego ze studio-waniem poza stałym miejscem zamieszkania, *małą ojczyzną*, jaką w tym przypadku jest Gdańsk (kontekst teoretyczny oraz kontekst aktualnej rzeczywistości – społeczny, polityczny, edukacyjny; aspekty lokalne vs. globalne; Gdańsk, a inne miasta świata, inne kraje i inne uczelnie; itp.).

2 Myśl społeczna rozwijana po *przewrocie przestrzennym* (Soja, 1996). Akcentuje ona potrzebę *uprzestrzenniania*, albo *spacjalizacji* refleksji, pojęć, polityki, edukacji, in. (Robertson, 2010).

Problematyka badawcza skupia się na pytaniach o treści uogólnionego doświadczenia indywidualnego, jakim jest studiowanie z wykorzystaniem możliwości i szansy, jaką stwarza Stypendium im. G.D. Fahrenheita (zob.: Mezirow, 1990); o znaczenia tych treści w perspektywie jednostkowej i społecznej; o edukacyjne i autokreacyjne elementy opisu (praca tożsamości, uczenie się w zróżnicowanych miejscach, kształtowanie umiejętności i innych kompetencji, oraz rozwój osobisty, itp.).

Metodą pozyskania materiału badawczego (zbierania danych) stał się konkurs, z *Odezwą konkursową* (w załączeniu).

Główna metoda analizy danych, to metoda analizy tekstu pisanego rozumianego jako „pisanie o sobie”, czyli utrzymującego charakter biograficzny (m.in. Demetrio, 2000). W sensie szczegółowym metoda analizy zawierać będzie elementy krytycznej analizy dyskursu (Gee, 1999) oraz wykazywać cechy podejścia fenomenograficznego, z uwagi na cele związane z interpretacją indywidualnych koncepcji życia i studiowania, tworzonych przez badanych (Marton, 1981).

W fenomenografii opis, analiza i rozumienie doświadczenia odgrywa pierwszoplanową rolę. Analizy materiału badawczego będą zatem skoncentrowane na wyłanianiu – funkcjonujących w języku narratorów – kategorii opisu, jako tworzeniu przestrzeni wynikowej (*outcome space*), charakterystycznym dla podejścia fenomenograficznego (Cackowska i in., 2003, s.24)³.

W świetle postawionych problemów, istotna w postępowaniu badawczym będzie koncentracja badaczy na – szczególnie istotnych w fenomenografii – indywidualnych koncepcjach rzeczywistości ugruntowanych w rozumieniu rozmaitych fenomenów występujących w świecie otaczającym autorów analizowanych wypowiedzi.

Analiza w poszczególnych fazach, zgodnie z założeniem, polegać ma na:

a/ ogólnym diagnozowaniu badawczym (odpowiadającym na szczegółowe pytania badawcze, takie jak: co jest, co widzimy w pracy, jaka – ogólnie – jest jej treść),

3 Fenomenografia stanowiła jedną z metod w projekcie *Students as Journeymen Between Communities of Higher Education and Work – Journeymen*. Przedstawiana książka raportuje badania w ramach tego projektu, opisując tę metodę oraz jej interesujące wykorzystanie.

b/ interpretowaniu (co to znaczy – w kontekście biograficznym oraz aktualnym kontekście społecznym i wybranych perspektywach teoretycznych)

c/ wnioskowaniu (ogólnie – co z tego wynika w perspektywie indywidualnej, społecznej; jakie perspektywne konkluzje można na tej podstawie sformułować z myślą o poszczególnych autorach, Stypendystach Fahrenheita i Gdańsku – mieście jako miejscu – w sensie jego lokalności i globalności zarazem, itd.).

Przeprowadzona dotąd analiza, skupiona głównie w fazie *a*, pozwoliła na – na razie wstępne (badania są w toku) – ustalenia naukowe, które przedstawiane są w tej wypowiedzi, jako skrótowy raport badawczy z pierwszej fazy badania.

WSTĘPNE WYNIKI ANALIZ

W ODNIESIENIU DO POSZCZEGÓLNYCH PRAC KONKURSOWYCH

Praca nr 1, autorka: Magdalena Bielecka

Tekst bardzo lakoniczny (450 wyrazów, nieco ponad 1 strona) stanowi krótki opis historyczny Gdańska jako miejsca wielokulturowego, które odegrało znaczącą rolę w historii powszechnej oraz dla relacji polsko-niemieckich. Autorka odwołując się do przeszłości próbuje zbudować krótką narrację na temat swojej sytuacji, w której znalazła się jako stypendystka. Rozwija porównanie wielokulturowego Wiednia do Gdańska, miasta wielu kultur i narodów, skłania do refleksji nad rolą historii w kształtowaniu współczesnych miejsc.

Pytania stawiane przez Autorkę, np.: *W jakim miejscu byłabym dzisiaj, gdyby 10 lat temu ktoś nie wszczepił we mnie miłości do języka niemieckiego?* wybrzmiewają bardzo mocno z perspektywy wcześniej dokonanego opisu historii Gdańska i przedstawienia go jako miejsca, w którym ta miłość została wszczepiona. Przemawiają jak lekcja, formułowane z pozycji osoby szczęśliwej, że pochodzi z tego miasta, dzisiaj *miejsca bez granic*, które – ucierpiawszy wiele z powodu różnic narodowych – naprawdę nauczyło się żyć ponad podziałami.

Praca nr 2, autor: Samuel Kozłowski

Praca (2 617 wyrazów) jest efektem przemyśleń Autora na temat funkcjonowania w dwóch odrębnych, aczkolwiek po części przenikających

się światach. Jest to forma refleksji na temat „bycia pomiędzy”, które jest konsekwencją studiowania za granicą. Tekst ten zawiera treści składające się na doświadczenie pogranicza rozumianego jako efekt indywidualnej mobilności. Tekst oddaje charakterystykę doświadczenia pogranicza.

Erudycyjny, z lekkością, eleganckim dystansem i humorem napisany esej – pochwała wielokulturowej kondycji współczesności. Może być czytany jako rodzaj zabawy polegającej na odkrywaniu świata poprzez zmianę pozycji postrzegania. Autor przedstawia się raz przez pryzmat swojego krytycznego spojrzenia i opisuje swoje-nieswoje miejsca jako outsider, innym razem jako migrant, wreszcie jako *lokals*, ale dziwny, bo jednocześnie przynależący do wielu lokalnych wspólnot. Pisze jednak: *nigdy nie wyjeżdżam; zawsze wracam*, a odpowiadając na pytanie – czym jest dla mnie Gdańsk? – dokańcza: *jest miejscem, do którego (nierelatywnie) wracam (...)* *Małą rzeczywistością, która kiedyś była wszystkim, co znałem. I choć teraz znam troszkę więcej, to wszystko to sprawia, że wciąż mogę mówić, że jest to moje miejsce. Czy ma granice czy nie, to mniej istotne. Ale właśnie to „moje” czyni Gdańsk wyjątkowym.* Autor dochodzi też do następującego uogólnienia, znaczącego zarówno indywidualnie, jak społecznie: *jest bardzo dużo do zobaczenia, zanim samemu można mądrze coś powiedzieć, bo zawsze jest się ograniczonym własną, czasem bardzo lokalną rzeczywistością. Zawsze można z niej wyjść i spojrzeć szerzej, i znowu, i znowu. Może na końcu tego łańcucha już nic się nie mówi i na tym właśnie polega mądrość?*

Praca nr 3, autor: Daniel Krajnik

Praca zawierająca rysunki, bardzo obszerna (28 stron)⁴ jest rozbudowanym tekstem poświęconym doświadczeniom Autora w związku z zamieszkiwaniem w Gdańsku i Cardiff. Praca składa się z dwóch części. Pierwsza odnosi się do gdańskich doświadczeń, druga zaś, do brytyjskich. W pierwszej, jest to opis doświadczeń związanych z dorastaniem w Gdańsku, na kanwie których Autor dokonuje przemyśleń na temat uwarunkowań doświadczanych sytuacji. W drugiej przedstawiane są doświadczenia studiowania za granicą, a także nieformalnego uczenia się poza Polską. Obie części ujmują rysunki Autora, które – od szkicowanych jeszcze niewprawną ręką, do precyzyjnych rysunków młodego architekta

4 Praca podana w formacie pdf – uniemożliwia skorzystanie z licznika wyrazów.

– ilustrują rodzaj trajektorii życia i uczenia się w podglądaniu i „prze-projektowywaniu” świata, wyrażającym rosnącą dojrzałość Autora, jako człowieka i profesjonalisty. Mottem w tym zakresie może być ten fragment, kończący jego wypowiedź: *Wszystkie doświadczenia, które zebrałem w drodze na Uniwersytet w Cardiff pozwoliły mi być pełniejszą osobą i zarówno z entuzjazmem, jak i determinacją budować moje marzenia.*

Tekst jest typową formą pamiętnikarską, której zamierzenia ograniczają się do zestawienia najważniejszych faktów z życia jednostki. Jego znaczenie sprowadzić można do reprezentowania społecznego doświadczenia jednostki w kontekście edukacji *pomiędzy miejscami*, rozpiętej w przestrzeni rosnącej wraz z kolejnymi doświadczeniami uczenia się z życia, które – w analizowanym przypadku – jest nieustannym przemieszczaniem.

Praca nr 4, autorka: Patrycja Łapińska

Praca (2 621 wyrazów) stanowi detaliczny opis wydarzeń, przemyśleń i kontekstów decyzji, jakie podejmowała Autorka zanim została przyjęta na studia w zagranicznej uczelni. Tekst pisany jest z perspektywy pierwszej osoby w konwencji drobiazgowego pamiętnikarstwa. Można go traktować jako prezentację kontekstu doświadczenia jednostkowego, które stanowi formę interpretacji wydarzeń, które wpływają na przebieg życia człowieka.

Perspektywa, w jakiej Autorka opisuje swoje doświadczenia, może być interpretowana jako uniwersalna sytuacja rodzącej się, życiowej dojrzałości (i samodzielności) w warunkach ambitnego podjęcia wyjątkowej pracy i nieustannego zmagania się z przeciwnościami, począwszy od problemów finansowych, skończywszy na tęsknocie za domem i wahaniami nastrojów i emocji, utrudniającymi racjonalną ocenę rzeczywistości. Wywód Autorki, jak niżej, może być traktowany jak unikatowa okazja wniknięcia w jednostkowe doświadczenie szansy, jaką jest stypendium Fahrenheita: *Zdecydowana, zawzięta, zdeterminowana to cechy, które wcześniej nie były mi przypisywane, bo uchodziłam raczej za osobę ze słomianym zapalem. I tak właśnie dotarłam do ostatniego roku w liceum, gdzie musiałam już podjąć konkretne działania w stronę wymarzonych studiów. Ten rok był bardzo intensywny, przygotowania do matury, usiłowanie nawiązania kontaktu z uczelnią docelową, planowanie, wyliczanie... No właśnie, z wyliczaniem był największy problem, Hiszpania to*

kraj w którym edukacja słono kosztuje, a ja nie spałam na pieniądzach. Zaczęłam więc drążyć temat stypendiów, przypomniałam sobie o wizycie absolwentki naszego liceum, która opowiadała o Stypendium Fahrenheita, co wtedy było dla mnie czymś tak nieosiągalnym, że nawet przez chwilę nie pomyślałabym, żeby skorzystać z tej pomocy, myślałam wtedy, że to nagroda przeznaczona dla naprawdę utalentowanych i zdolnych ludzi. Na tamtą chwilę nie miałam żadnej innej alternatywy, więc zestresowana weszłam na stronę Miasta Gdańska żeby zapoznać się z kryteriami stypendium. Wraz z kontynuowaniem czytania mój stres i strach mijał, zaczęłam zdawać sobie sprawę, że może i ja pasuję do profilu stypendystki. Wspomniana, pełna ambicji postawa Autorki stanowi obiecującą puentę jej wypowiedzi: *Przy 20 leciu Stypendium Fahrenheita opowiem Wam, jak to się stało, że zostałam tłumaczem w ONZ i gdańskim ambasadorem na świecie, bo to mój kolejny cel, do którego zaczęłam dążyć już 5 lat temu, jak na razie mi wychodzi! Do zobaczenia!*

Praca nr 5, autorka: Magdalena Mastykarz

Tekst (3 298 wyrazów) jest literackim opisem losów młodej dziewczyny, której życie związane było z Gdańskiem. Narracja prowadzona jest w trzeciej osobie. Strategia ta wywołuje efekt obiektywizacji rzeczywistości przeżywanej i interpretowanej z perspektywy zewnętrznej. Autorka prezentuje ciąg wydarzeń połączonych i prowadzących do efektu jakim jest sytuacja, w której się aktualnie znajduje. Autorka koncentruje się na relacjach przyczynowo-skutkowych, które doprowadziły do sukcesu jakim jest studiowanie za granicą. Tekst stanowi prezentację tła społeczno-kulturowego, które doprowadziło do urzeczywistnienia marzenia Autorki w postaci studiów w Niemczech.

W narracji, zaczynającej się od opisu sytuacji narodzin w szpitalnej sali porodowej, jedna z kończących ją scen do tego wydarzenia nawiązuje, akcentując związek szansy, jaką poprzez stypendium dało bohaterce miasto, z ponownym rodzeniem się jej w podróży do nowego dla niej świata: *Dzięki temu stypendium Magda wyrusza w kolejną podróż życia. Miasto Gdańsk, Kapituła Stypendialna i twórca stypendium Pan Prezydent Paweł Adamowicz stają się doktorem Wydrą. Robią cesarskie cięcie, podają Magdzie dłoń i otwierają okno na świat, na nowy dla niej świat.* To opis stypendium, jako momentu przejścia, liminalnej rzeczywistości prowadzącej ku życiowej transformacji.

Praca nr 6, autorka: Anna Petruczynik

Objętość tekstu: 1 389 wyrazów. Autorka prezentuje serię doświadczeń związanych z przebywaniem w różnych miejscach świata. Składają się one na doświadczenia mniej lub bardziej bezpośrednio związane z Gdańskiem. Są to mocno sensualne i skondensowane opisy sytuacji i miejsc, które poprzez motyw wody, metaforę Gdańska składają się na doświadczenie Gdańska jako miejsca bez granic. Tekst stanowi serię, jak gdyby filmowych ujęć, sytuacji związanych tematycznie z wodą a metaforycznie z Gdańskiem. Metafora wody stanowi odwołanie do globalnego powiązania nie tylko problemów, z jakimi musi radzić sobie rodzaj ludzki, ale także do uniwersalizacji miejsc i sytuacji metaforycznie związanych z wodą.

W końcowej części wypowiedzi Autorka, znacząco dla własnej tożsamości kształtowanej z udziałem Gdańska, a także dla identyfikacji tego miasta, jakby niekończącego się, bo zapatrzonego w morze, pisze: *Od zawsze lubiłam spoglądać w morze z molo na wielkie statki płynące do Szwecji. Łamało to sztuczną granicę wytworzoną przez tabliczki z napisem „Gdańsk”. I dalej puenta, która stanowi – z jednej strony – filozoficzno-poetycki opis metafizycznego doświadczenia jedni osiągniętej przez uczenie się w- i z podróży, przez zinterioryzowaną pamięć różnych miejsc świata. To transgresja, dzięki wodzie istocząca się w ciele, organiczna, a jednocześnie duchowa, w doświadczeniu tym spajająca rozmaite „pierwiastki” wiedzy, pochodzące z miejsc różnych i wielorakich, mieniających się znaczeniami w dynamice szybko dokonujących się przemian. Z drugiej, puenta ta *explicite* nawiązuje do zawołania konkursu; do Gdańska, jako miejsca – mojego, indywidualnie, autokreacyjnie postrzeganego – miejsca bez granic: *Jestem na końcu świata, w świecie, w którym nie dostrzegam już granic. Wiatr smaga moje policzki a uszy wypełnia szum wody. Jestem wolna. Moje ciało wspomina bodźce zapamiętane z różnych miejsc świata. Dusza pędzi przez ocean, morza i rzeki. Jestem na miejscu. Jestem w domu. Jestem w Gdańsku.**

Praca nr 7, autorka: Milena Rudzińska

Objętość tekstu: 1 382 wyrazy. Praca stanowi formę tekstu opartego na konwencji skargi. Żartobliwy ton, na pozór odległy od podjętego tematu, wywołuje efekt zaskoczenia. Autorka prezentuje w zwięzły sposób argumenty przemawiające za słusznością decyzji o przyznaniu

jej stypendium przez Kapitułę. Praca prezentuje typ narracji skonstruowany wokół fikcyjnych zarzutów postawionych Kapitulie. Jest to również swoista interpretacja sytuacji osoby, która przez okres pięciu lat przebywała w zróżnicowanych środowiskach kulturowych. Tekst ten traktować można jako swoiste podsumowanie uważnie wyselekcjonowanych i spójnych tematycznie doświadczeń edukacyjnych i życiowych Autorki.

O pojmowaniu Gdańska, jako miejsca bez granic, pisze: *Granica między Walencją, a Gdańskiem zatarta się kompletnie, dla mnie – nie istnieje. To piękne lecz smutne, bo przecież nie mogę być w dwóch miejscach jednocześnie. W ten sposób pod walenczką katedrą chciałabym zobaczyć kościół Mariacki, a siedząc w kawiarni na Pivnej marzą mi się hiszpańskie przystawki. Bo wszędzie dobrze tam, gdzie nas nie ma. Może gdybym została w Polsce (...) żyłabym sobie spokojnie w mojej małej ojczyźnie nie tęskniąc za niczym i nikim tak oddalonym kilometrami i tak bliskim jednocześnie? Może byłabym szczęśliwsza, bo nie szargałyby mną tak ambiwalentne uczucia? Może wszystko byłoby o wiele łatwiejsze? A może nie?* (podkr. MM,MB).

Praca nr 8, autorka: Agnieszka Rzeźniowiecka

Tekst (882 wyrazy) stanowi opis doświadczeń Autorki związanych z zagranicznymi studiami. Jest to w zasadzie – z jednej strony – forma wdzięczności skierowanej do abstrakcyjnego miasta Gdańska. Z drugiej, typ detalicznej narracji o dokonaniach Autorki w dziedzinie psychologii oraz sytuacji polskiej studentki na zagranicznej uczelni, z uniwersalnie interesującym, choć bardzo lakonicznym, opisem organizacji kształcenia (rola wykładowców, mentorów) i relacji pomiędzy studentami i wykładowcami w – nieco egzotycznej dla polskiego szkolnictwa wyższego – kulturze angielskiej uczelni.

Literatura

- Cackowska M., Kopciewicz L., Mendel M., Męczkowska A., Strużyńska A., Szkuclarek T. (2003): *Freshmen students on education and work*. Gdańsk: Wydawnictwo Uniwersytetu Gdańskiego
- Demetrio D. (2000): *Autobiografia. Terapeutyczny wymiar pisania o sobie*, Impuls, Kraków; tenże (1999): *Zabawa na tle życia – gra autobiograficzna w edukacji dorosłych*, Impuls, Kraków; tenże (2009): *Pedagogika pamięci. W trosce o nas samych, z myślą o innych*, Wydawnictwo Akademii Humanistyczno-Ekonomicznej w Łodzi, Łódź
- Dominicé P.(2006): *Uczyć się z życia. Biografia edukacyjna w edukacji dorosłych*, tłum.:Monika Kopytowska, Wydawnictwo Wyższej Szkoły Humanistyczno-Ekonomicznej w Łodzi, Łódź
- Gee, J. P. (1999). *An introduction to Discourse analysis: theory and method*. London–New York: Routledge
- Lalak D.(2010): *Życie jako biografia. Podejście biograficzne w perspektywie pedagogicznej*, Wydawnictwo Akademickie Żak, Warszawa
- Marton, F. (1981): Phenomenography – describing conceptions of the world around us. *Instructional Science*, 10, pp.: 177-200
- Mendel M. (red.)(2006): *Pedagogika miejsca*, Wrocław: Wydawnictwo Naukowe Dolnośląskiej Szkoły Wyższej
- Mezirow J. (1990): *Fostering critical reflection in adulthood: A guide to transformative and emancipatory learning*, San Francisco: Jossey-Bass.
- Soja E.W. (1996): *Thirdspace. Journeys to Los Angeles and Other Real-and-Imagined Places*, Blackwell Publishers, Malden – Oxford
- Theiss W. (2000): *Polsko-żydowska przeszłość: od historii do edukacji, Wychowanie na co dzień*, nr 6.
- Robertson S. L. (2010): ‘Spatializing’ the sociology of education. Stand-points, entry-point, vantage-points [in:] *The Routledge International Handbook of the Sociology of Education*, red. Michael W.Apple, Stephen J.Ball, Luis Armando Gandin, Routledge, London and New York, pp.15-26

Laureaci konkursu – laudacje Prezydenta Miasta Gdańska

1. Pan Samuel Kozłowski

Laureat konkursu „Gdańsk moje miejsce bez granic / Gdańsk my place with no border”, otrzymujący Nagrodę Prezydenta Miasta Gdańska i Kapituły Stypendialnej Stypendiów Naukowych Prezydenta Miasta Gdańska im. G. D. Fahrenheita

za

wypowiedź, która zachwyca, prowadząc do rozumienia współzależności pomiędzy miejscem i przestrzenią; między miłością do małej ojczyzny i umiłowaniem kondycji wędrowca, będącego u siebie na całym świecie.

Za słowa:

nigdy nie wyjeżdżam; zawsze wracam (...Gdańsk jest dla mnie) miejscem, do którego (nierelatywnie) wracam (...) Małą rzeczywistością, która kiedyś była wszystkim, co znałem. I choć teraz znam troszkę więcej, to wszystko to sprawia, że wciąż mogę mówić, że jest to moje miejsce. Czy ma granice czy nie, to mniej istotne. Ale właśnie to „moje” czyni Gdańsk wyjątkowym. (...) Jest bardzo dużo do zobaczenia, zanim samemu można mądrze coś powiedzieć, bo zawsze jest się ograniczonym własną, czasem bardzo lokalną rzeczywistością. Zawsze można z niej wyjść i spojrzeć szerzej, i znowu, i znowu. Może na końcu tego łańcucha już nic się nie mówi i na tym właśnie polega mądrość?

2. Pani Anna Petruczynik

Wyróżniona w Konkursie „Gdańsk moje miejsce bez granic / Gdańsk my place with no border”, otrzymująca Nagrodę Prezydenta Miasta Gdańska i Kapituły Stypendialnej Stypendiów Naukowych Prezydenta Miasta Gdańska im. G. D. Fahrenheita

za

metaforę wody, wyrażającą Gdańsk, który nie ma granic; za filozoficzno-poetycki opis metafizycznego doświadczenia jedni osiągniętej przez zinterioryzowaną pamięć *różnych miejsc świata*; organicznej i jednocześnie duchowej transgresji, dzięki wodzie dokonującej się w ciele, nieustannie spajającym zewsząd *płynącą* wiedzę.

Za słowa takie, jak te:

Od zawsze lubiłam spoglądać w morze z molo na wielkie statki płynące do Szwecji. Łamało to sztuczną granicę wytworzoną przez tabliczki z napisem „Gdańsk” (...)

(Teraz) Jestem na końcu świata, w świecie, w którym nie dostrzegam już granic. Wiatr smaga moje policzki a uszy wypełnia szum wody. Jestem wolna. Moje ciało wspomina bodźce zapamiętane z różnych miejsc świata. Dusza pędzi przez ocean, morza i rzeki. Jestem na miejscu. Jestem w domu. Jestem w Gdańsku

3. Pan Daniel Krajnik

Wyróżniony w Konkursie „Gdańsk moje miejsce bez granic / Gdańsk my place with no border”, otrzymujący Nagrodę Prezydenta Miasta Gdańska i Kapituły Stypendialnej Stypendiów Naukowych Prezydenta Miasta Gdańska im. G. D. Fahrenheita

za

ilustrowaną opowieść o gdańszczaninie uczącym się z miejsca, które nie ma granic; za tekst i rysunki, które – od szkicowanych jeszcze niewprawną ręką, do precyzyjnych rysunków młodego architekta

– ilustrują trajektorię życia i uczenia się w podglądaniu oraz projektowaniu świata, które wyraża rosnącą dojrzałość człowieka i profesjonalisty:

Wszystkie doświadczenia, które zebrałem w drodze na Uniwersytet w Cardiff pozwoliły mi być pełniejszą osobą i zarówno z entuzjazmem, jak i determinacją budować moje marzenia.

PRACE KONKURSOWE

Mój Gdańsk, moje miejsce bez granic

Nie ulega wątpliwości, że Gdańsk od wieków stanowił wyjątkowy punkt na mapie Polski. Trudno powiedzieć, czy sprawił to jego wyjątkowy status Wolnego Miasta, specyficzne położenie nad Bałtykiem czy bogata historia, która ukształtowała niemalże całe europejskie dwudzieste stulecie. Faktem jest, że Gdańsk uosabia solidarność i Polskę otwartą na świat, mocno osadzoną w Europie. To właśnie ta dwoistość natury Gdańska, globalny patriotyzm, stanowi o jego sile i sprawia, że jako jedno z niewielu w Europie zasługuje na miano „miasta bez granic”.

Historia Gdańska to tak naprawdę historia Europy w pigułce. Bo Gdańsk to przecież hanzeatyckie spichlerze, to napoleońskie forty, to bruk, po którym maszerowały oddziały wojska pozdrawiające Hitlera, to wreszcie stoczniowe żurawie, będące świadkami krwawych starć robotników z milicją. To historia pełna ludzkich dramatów, klęsk i niepowodzeń, ale też historia zwycięstwa. Z ruin, tych dosłownych i przenośnych, mieszkańcom udało się bowiem odbudować Gdańsk, wybaczyć i naprawić stosunki z sąsiadami. Na tych ruinach powstało dynamicznie rozwijające się miasto, które popychane niewidzialnym morskim wiatrem zdaje się przekraczać kolejne granice i dokonywać niemożliwego.

Nieprzypadkowo wspominam tutaj skomplikowaną, a zarazem piękną historię Gdańska. Historia ta ukazuje bowiem, że obłądana ideologia nazizmu, która sprowadziła śmierć na miliony ludzi, a swój moment kulminacyjny miała właśnie w Gdańsku, że ideologia ta nie zdołała wydziedziczyć Gdańska z Europy i zniszczyć trójmiejskiej przyjaźni niemiecko-polskiej.

I właśnie te międzykulturowe powiązania ukształtowały całe moje dotychczasowe życie.

W jakim miejscu byłabym dzisiaj, gdyby 10 lat temu ktoś nie zaszczepił we mnie miłości do języka niemieckiego? Gdyby nie pokazał piękna niemieckiej kultury, zwalczając niepotrzebne uprzedzenia? Gdyby nie nauczył mnie, że historii nie jesteśmy w stanie zmienić, ale możemy budować lepszą przyszłość? Jestem pewna, że bez tego wszystkiego moje życie potoczyłoby się zupełnie inaczej. Kolejne szkoły, klasy z rozszerzonym niemieckim, konkursy, wymiany młodzieży, projekty niemiecko-polskie doprowadziły mnie do studiów za granicą. Mój wybór nie padł jednakże na Berlin czy Monachium, tylko na Uniwersytet Wiedeński-niemieckojęzyczną uczelnię w mieście wielu kultur, klasycznym miejscu pogranicza, tak podobnym pod tym względem do Gdańska. Dlatego jestem dziś bardzo wdzięczna Gdańskowi za to, że 70 lat temu postanowił przełamać bariery powstałe w wyniku okrucieństw II wojny światowej. Jestem wdzięczna, że nie zapomniał o swojej wielowiekowej tradycji wielokulturowości, wcale nie niemieckiej czy polskiej, tylko gdańskiej właśnie.

Mówi się, że w dzisiejszych czasach miejsce pochodzenia nie warunkuje tego, kim jesteśmy, ale wydaje mi się, że na pewno w jakimś stopniu może wpłynąć na naszą osobowość. Mój Gdańsk, europejski fenomen na ziemiach polskich, nauczył mnie, co to znaczy być Europejczykiem. Sprawił, że w Europie czuję się jak w domu, jednocześnie nie zapominając o swoich korzeniach. Dzięki temu mogę przekraczać kolejne granice i realizować życiowe marzenia „odważnie, ale z rozważą”, zgodnie z hanzeatycką zasadą od wieków przyświecającą mojemu miastu.

Gdańsk, moje miejsce wyjątkowe

To zabawne, że jeszcze tak niedawno nie miałbym wiele do powiedzenia. „Gdańsk, moje miejsce bez granic”. Przez całe moje życie Gdańsk był pierwszą rzeczą, którą widziałem rano. Był tym, co mijalem w drodze do szkoły, był tam, kiedy spoglądałem za okno, był w każdej misce płatków, którą zjadłem na śniadanie. Czy czyniło to z niego miejsce wyjątkowe? Nie. Jakże miało być inaczej, skoro był tam przez cały ten czas?

Anglicy mają na to bardzo trafne określenie, *take it for granted*. Uznać coś za dane, uważać, że zawsze tam będzie i przez to nie doceniać jego wartości. Jest w tym jakaś niewypowiedziana groźba; depresyjna sugestia, że kiedyś to coś zostanie nam odebrane, albo przekonanie, że trzeba to odebrać, żeby to docenić. Absolutnie nie i nie mam zamiaru uderzać w takie melancholijne klawisze. Myślę natomiast, że tak jak trzeba się do czegoś zbliżyć, żeby to dostrzec w pełnej okazałości, tak czasem być może należy się oddalić, żeby coś w ogóle zauważyć. Do tego celu emigracja nadaje się znakomicie.

Możliwość mieszkania za granicą to niesamowicie wzbogacające doświadczenie, jeśli tylko trzymać szeroko otwarte oczy. Bardzo podoba mi się zdanie „każda podróż kształci, ale wykształconych ludzi”. Tym, co uderzyło mnie najbardziej podczas mieszkania poza Polską, była inna, nieznaną mi w najmniejszym stopniu kultura. Podczas decydowania

1 Zdobywca I Nagrody, laureat w konkursie ogłoszonym przez Prezydenta Miasta Gdańska: „Gdańsk moje miejsce bez granic”, 2015.

się na wyjazd do innego kraju przeważnie martwimy się o język. Czy znamy go wystarczająco dobrze, czy będziemy w stanie się dogadać, czy nie będziemy mówili ze zbyt egzotycznym akcentem. Wydaje się, że to będzie największa bariera, okazuje się jednak, że to raptem wierzchołek góry lodowej i w dodatku niewiele znaczący.

Tak w zasadzie, jak byłem młodszy miałem trudności ze zrozumieniem pojęcia kultury. No bo cóż to takiego jest, ta kultura? Nie jest tak prosto ją zdefiniować, natomiast w jakiś czas po przylocie na Wyspy pomyślałem o bardzo zgrabnej definicji: kultura to wszystko, czego mi w tamtym momencie brakowało. Brakowało mi wiedzy o polityce, serialach telewizyjnych albo bajkach z dzieciństwa. Nie znałem imion celebrytów, dziennikarzy, działaczy społecznych. Obce były mi marki sklepów, popularne restauracje, geografia. Nie wiedziałem co ludzi śmieszy, co porusza i co oburza². Uświadomiłem sobie, że kontekst, który posiadam jako efekt bycia członkiem jakiejś społeczności, bycia gdańszczaninem, Polakiem, jest daleko bardziej różnorodny i trudny do ujęcia, niż mogłem zdawać sobie z tego sprawę, a z pewnością składa się na niego więcej, niż tylko język, którym mówię. I nagle odnalazłem się w środku grupki ludzi, rozmawiającej na przypadkowe tematy i stwierdziłem, że nie mam wiele do powiedzenia, bo zwyczajnie brakuje mi kontekstu.

Nie jest to takie straszne, jak mogłoby się wydawać, chociaż z początku to raczej przygnębiająco-osamotniające uczucie. Na swój sposób to jednak niesamowita okazja, *tabula rasa*. Można poczuć się jak dziecko i wszystko odkrywać od nowa, zadając pytania na każdym kroku – trzeba tylko znaleźć cierpliwych przyjaciół, których nie męczy odpowiadanie. A uświadomienie sobie, jak mało się wie, jest zawsze zdrowe, uczy pokory. Czasem tylko żałuję, że mam tak mało czasu, żeby się tym wszystkim zainteresować. Jest tak wielu ludzi, z którymi mógłbym porozmawiać, od

2 W temacie oburzania, przylatując do innego kraju warto się zorientować jakie gesty są obraźliwe, ponieważ jest to mniej uniwersalne, niż mogłoby się wydawać. Okazuje się, że odwrócony gest victorii/pokoju, czyli palec wskazujący i środkowy tworzące 'V', ale zwrócone wierzchem dłoni w kierunku patrzącego jest w Wielkiej Brytanii gestem wulgarnym, odrobinę mniej niż sam palec środkowy. Ja o tym oczywiście nie wiedziałem i raz kiedyś ktoś się mnie zapytał, na którą mamy zajęcia, a ja byłem daleko i nie chciałem krzyczeć, więc pokazałem na palcach, że o drugiej...

których mógłbym czegoś się dowiedzieć, których chciałbym posłuchać; tak wiele rzeczy, o których chciałbym poczytać, a ja całymi dniami siedzę przed biurkiem łamiąc sobie głowę nad matematyką. Ale to też rozwija, tylko na innej płaszczyźnie. A sytuacja, w której apetyt na życie jest większy, niż można go zaspokoić, jest chyba zdrowa. Frustrująca, ale zdrowa.

A ludzie w Cambridge czasami są naprawdę niesamowici. Nie raz mi mówiono, żebym nie wyciągał opinii o Brytyjczykach na ich podstawie, bo nie stykam się z reprezentacyjną próbką społeczeństwa. Wiedza, którą potrafią posiadać na tematy wcale niekoniecznie powiązane ze sobą, albo z przedmiotem, który studiują, jest zadziwiająca. Mój przyjaciel, Joe, studiujący *Land Economy*, które jest połączeniem Prawa i Ekonomii, potrafi tego samego dnia podpowiedzieć przyjaciółce studiującej geografii w pisanym przez nią eseju, podekscytować się filmem, który wyświetlają akurat w audytorium, bo muzykę skomponował człowiek, który napisał świetne nuty też do tego, tego i tamtego filmu i na koniec rzucić, że może i Australijczycy mają bardzo rozsądny system wyborczy, ale i tak cały czas wybierają buraków. A przecież to tylko osoba, która akurat zdarzyła się mieszkać w pokoju obok mnie. W budynku obok mieszka Ted, który zapełnia sobą pierwsze dwie i pół strony wyników w Google po wpisaniu jego imienia, bo w popularnym teleturnieju zdeklasował rywali m.in. w dwie sekundy przerywając zadającemu pytanie by odpowiedzieć *hapax legomenon*, gdy ten ledwie zdążył powiedzieć „Znaczy, powiedziany tylko raz”; które dwuwyrazowe greckie wyrażenie...?”. Nie wspominając o Arran’ie Fernandez, który mając 18 lat skończył studia pierwszego stopnia z matematyki z najwyższym wynikiem, dostając tym samym tytuł *Senior Wrangler*, który czasem okreśłany jest jako „niegdyś największe intelektualne osiągnięcie do zdobycia w Wielkiej Brytanii”, będąc jednocześnie najmłodszą osobą, która rozpoczęła studia na Cambridge od 227 lat. Na samą myśl mam czasem ochotę zamknąć się w pokoju na miesiąc i tylko czytać książki – przynajmniej dopóki mowa o pierwszych dwóch. O Arran’ie chyba najlepiej po prostu nie myśleć.

Cambridge to także niesamowicie wielokulturowe i przyjemnie tolerancyjne miejsce. Każda narodowość i religia ma tutaj swoje stowarzyszenie, które organizują akcje, obchodzą święta, wyprawiają bale albo po prostu wieczory żeby przyjść i porozmawiać. Nie sposób przejść się

po krótko ulicą, żeby nie usłyszeć kogoś mówiącego w języku, którego się nie rozumie³, albo z wyraźnie nietutejszym akcentem. W tłumie mieszają się biali i czarni, homo i hetero, ateści i wyznawcy wszystkich większych (i kilku pomniejszych) religii świata i nikt do odmienności nie przywiązuje większej wagi, jest ona na porządku dziennym. Nic nie stoi na przeszkodzie, żeby ateista z indyjskimi korzeniami wpadł w piątek na spotkanie stowarzyszenia żydowskiego żeby zjeść, posiedzieć, porozmawiać. Dlaczego by miało? Wszyscy, niezależnie od naszych przekonań, wierzeń, tożsamości, w równym stopniu zapracowaliśmy, żeby się w tym miejscu znaleźć.

Pobyć tam to tym samym niepowtarzalna okazja żeby poznać trochę inne kultury i obyczaje. Trochę ponad tydzień temu, podczas kolacji, dowiedziałem się, że ortodoksyjni Żydzi w sobotę nie mogą tworzyć. Tak jak Bóg po skończonym dziele stworzenia świata odpoczywał, tak odpoczywają i oni. Oznacza to między innymi, że nie mogą w sobotę skorzystać z windy, ponieważ w momencie, w którym naciskamy przycisk piętra, zamyka się obwód elektryczny tworząc (!) tym samym prąd. Z tego powodu w niektórych miejscach konstruowane są specjalne windy szabatowe, które zatrzymują się na każdym piętrze bez udziału człowieka.

Innym przykładem jest hinduskie święto Holi, obchodzone co roku około początku wiosny. Legenda głosi, że na Ziemi rządził kiedyś zły król, Hiranyakashipu, który kazał wszystkim poddanym czcić tylko siebie. Nie słuchał go jednak jego syn, Prahlada, który pozostawał wierny Vishnu, więc jego ojciec próbował go zgładzić. Kazał swojej siostrze o imieniu Holika usiąść z Prahlada w ogniu, gdyż sama była na płomień niewrażliwa – w niektórych miejscach czytam, że miała błogosławieństwo, które jednak działało tylko, gdy wchodziła w płomień sama, w innych, że miała na sobie specjalny płaszcz, który od ognia chronił, a który zwał jej wiatr. Dość powiedzieć, że Holika spłonęła, a Prahlada wyszedł z ognia

3 Albo w języku, który rozumie się lepiej, niż obowiązujący. Parę dni temu wieczorem ktoś pod moim oknem krzyknął do swoich znajomych po polsku „Jak szła trzecia zasada dynamiki? Ciało puszczane raz, puszcza się cały czas!”. Chciałem się wychylić i odkrzyknąć, że to była pierwsza, ale zanim się zdecydowałem już sobie poszedł i moja okazja na ripostę miesiąca odeszła razem z nim.

cały i festiwal upamiętnia tym samym zwycięstwo dobra nad złem. Jest to bardzo radosne święto, w którym ludzie z rana obrzucają się kolorowym proszkiem i farbami, by później tradycyjnie pójść do swoich rodzin i przyjaciół by odnowić łączące ich więzy, zakończyć właśnie. Muszę jednak przyznać, że w takim wymiarze to święto obchodzone jest przypuszczalnie tylko w Indiach. Holi, przesiąkając do popkultury, odsączyło przy tym swój tradycyjny, religijny wymiar i musiałem się zainteresować i poczytać tu i ówdzie żeby dowiedzieć się co tak naprawdę ten festiwal upamiętnia. Przypuszczam więc, że przeciętny Brytyjczyk w nim uczestniczący nie robi tego, by oddać hołd hinduskiej tradycji, lecz zwyczajnie by się dobrze bawić. W takim też stopniu zwyczaj ten został przyswojony i w Gdańsku pod nazwą Color Day i u nas jest to wydarzenie charytatywne.

Gdzie w tym wszystkim jest więc miejsce na Gdańsk? Semestry na Cambridge są intensywne, ale krótkie; poza wakacjami, dwa razy w roku: w grudniu i na przełomie marca i kwietnia, mamy miesięczne przerwy, w czasie których wracam do Gdańska. Czy moja emigracja cokolwiek zmieniła? Przede wszystkim zmienia się sam Gdańsk; wynurza się kolej metropolitalna, pojawił się nowy peron SKM, a Galeria Metropolia rośnie coraz wyżej. W mniejszej skali żartuję sobie, że ilekroć wyjeżdżam, spółdzielnia bierze sobie za punkt honoru zmienić coś w bloku w którym mieszkam, na Przymorzu. Raz powstał podjazd dla niepełnosprawnych, innym razem wymieniono drzwi wejściowe, obecnie kładą nowy chodnik. Czasem są to zwyczajne, drobne rzeczy, po których wzrok prześlizgiwał się przez kilkanaście lat, żeby teraz ze zdumieniem odkrył, że już nie są takie same; że korzystając z mojego braku nadzoru postanowiły się zmienić.

Zmieniam się też więc i ja, a może raczej moje podejście. Staram się patrzeć trochę uważniej, dostrzegać Gdańsk. Jest tyle rzeczy, na które turysta spojrzy z zainteresowaniem, przeczyta w przewodniku, przyjeździe, żeby właśnie je zobaczyć, a które mijam z obojętnością tylko dlatego, że mam je pod ręką. Sztuką jest dostrzec wyjątkowość w codzienności i musiałem się chyba poczuć w Gdańsku przyjezdny, żeby takie myśli mogły mnie najść. Okazję do takich refleksji miałem w ubiegłe wakacje, kiedy zaprosiłem do nas przyjaciół z Wielkiej Brytanii. Przy planowaniu

ich pobytu nagle znalazło się mnóstwo miejsc, które chciałem pokazać i o których (nie bez wcześniejszego przygotowania) chciałem opowiedzieć. Do tego stopnia, że moi gdańscy przyjaciele chcąc poznać przyjezdnych pytali (pół)żartobliwie, czy znajdzie się dla nich miejsce w grafiku.

Do zmiany postawy zmusza również fakt, że będąc beneficjentem Stypendium Fahrenheita jestem zobowiązany do wolontariatu na rzecz Gdańska. Ilekroć wracam, muszę zastanowić się, jak mogę w tym krótkim czasie przysłużyć się miastu. Dla mnie to wykłady, które dajemy dla grup szkolnych na Dniach Nauki w Centrum Hevelianum, ale w tym roku udało mi się także zorganizować kilka zajęć z młodzieżą jednego z gdańskich liceów, na których łącałem trochę matematycznych dziur zostawionych przez szkołę po jej opuszczeniu, a przed pójściem na studia. Bardzo budującym uczuciem jest zaangażowanie się w regularne uczenie kogoś, robienie tego całkowicie dla pożytku innej osoby i obserwowanie efektów. Niestety, moje przerwy semestralne są trochę za krótkie, żeby mieć szansę zorganizować coś więcej, niż kilka pojedynczych spotkań, ale w ubiegłym roku akademickim działałem w organizacji Team Up wolontaryjnie oferującej pomoc naukową uczniom ze słabszych środowisk w przygotowaniu do odpowiedników naszych egzaminów gimnazjalnych. Raz w tygodniu, wraz z paroma innymi wolontariuszami, dojeżdżaliśmy do szkoły Hinchingsbrooke taksówką przez nich wynajętą i uczyliśmy przez półtorej godziny. Podczas tego przedsięwzięcia szczególnie mogłem poczuć swego rodzaju więź, odpowiedzialność za moich podopiecznych. Za każdym razem, kiedy stamtąd wracaliśmy, analizowałem, jakie błędy popełniłem, co mógłbym poprawić następnym razem, i jakby się nad tym zastanowić, to uczucie zaangażowania, przejmowania się czyimś losem jest naprawdę wyjątkowe i warto było wysupłać trochę swojego czasu, żeby go doświadczyć.

Jedną z rzeczy, którą musiałem sobie wypracować, był prostszy język w jakim do nich mówiłem – przede wszystkim matematyczny, ale jak się okazało nie tylko. Po którychś z kolei zajęciach stwierdziłem, że trochę onieśmielającą może być perspektywa powiedzenia mi wprost, co było nie tak, albo konstruktywna krytyka, więc przygotowałem małe ankieciki, na których mogli zajęcia ocenić w skali pięciostopniowej. Jedno z pytań brzmiało „Czy byłem zrozumiały?”, ale nie zastanawiając

się nad tym zbyt długo użyłem chyba trochę mniej standardowego słowa na określenie „zrozumiaily”⁴ i w konsekwencji musiałem tłumaczyć, co znaczy to pytanie. Jeżeli ktoś by się mnie spytał, czym jest ironia losu, przytoczyłbym właśnie tę historię.

W desperackiej próbie ratowania wizerunku, dla przeciwwagi mojej absolutnej porażce dydaktycznej powinienem przytoczyć jakiś sukces. Na przedostatnie zajęcia zaplanowałem m.in. przypomnienie jak się wyciąga pierwiastki. Tłumacząc więc, przypuszczam standardowy i zuniifikowany sposób w polskim szkolnictwie: rysujemy długą pionową kreskę po prawej od liczby i szukamy jakiejś liczby pierwszej, która ją dzieli. Zapisujemy ją po drugiej stronie kreski, wynik dzielenia pod oryginalną liczbą i powtarzamy aż dojdziemy do jedynki. Liczby po prawej łączymy w pary i te sparowane łądzą przed pierwiastkiem, a cała reszta zostaje pod. Dzieciaki robią wielkie oczy. Jeden z nich mówi: „To jest genialne! Nie wiem dlaczego nasz nauczyciel pokazywał nam jakiś dziwny sposób; pokażę mu twój na następnych zajęciach”. Tydzień później usłyszałem, że ich nauczyciel również stwierdził, że to rewelacyjna metoda i od tego momentu będzie tak uczył na swoich zajęciach.

Mieszkanie za granicą rozszerza w pewnym sensie świadomość; w jakiś sposób rozumiem lepiej niż kiedyś, że Gdańsk to tylko małe fragmenty wielkiego globu. Że Polska to niewielka, białoczerwona wysepka na mapie i gdzieś poza nią jest ogromny, kolorowy świat. A w nim całe połacie, w których nasze problemy, poglądy, polityka i życie, nie mają najmniejszego znaczenia. To uczucie przynosi dużo dobrego, uczy bezstronności i dystansu. Pokazuje, że jest bardzo dużo do zobaczenia, zanim samemu można mądrze coś powiedzieć, bo zawsze jest się ograniczonym własną, czasem bardzo lokalną rzeczywistością. Zawsze można z niej wyjść i spojrzeć szerzej, i znowu, i znowu. Może na końcu tego łańcucha już nic się nie mówi i na tym właśnie polega mądrość?

Ale ten dystans ma też swoje drugie oblicze – czasem czuję się jak zawieszony między dwoma światami. Z jednej strony nie będąc w Gdańsku tak długo, nie sposób czasem nie poczuć się wśród przyjaciół jak

4 Comprehensible zamiast być może understandable.

ktoś z zewnątrz. Nie widując ich, nie uczestnicząc w tych samych wydarzeniach, nie posiadając tych samych doświadczeń. Z drugiej, w czasie semestru też nigdy nie ma zbyt wiele czasu na zintegrowanie z przyjaciółmi – niestety, nie należę do grona osób, których nigdy nie widzi się pracujących, a którzy zawsze zgarniają *first* na egzaminach i swoje przed biurkiem muszą odsiedzieć. A kiedy podczas przerw organizowane są spotkania w Londynie, z naturalnych przyczyn w nich również uczestniczyć nie mogę.

To swoiste rozdwojenie ma pewne zabawne efekty uboczne. Jednym z nich jest fakt, że ja nigdy nie wyjeżdżam; zawsze wracam. Kiedy kończy się semestr, przyjaciele z Polski pytają się, kiedy wracam do Gdańska. Jeśli jestem w Gdańsku, ci z Anglii pytają się kiedy wracam do Cambridge. Prowadziło to nawet to nieporozumień językowych – jeżeli jestem gdzieś poza krajem, po polsku mogę zawsze powiedzieć „wracam do Polski”. Wracam, ponieważ uważam ją za mój dom. Za miejsce domyślne, dokąd się zawsze wraca. Natomiast po angielsku jest to całkowicie względne i zależy tylko i wyłącznie od miejsca, w którym jesteśmy w danej chwili. Powiem „*I'm going back*”, jeżeli jestem gdzieś i chcę oznajmić, że wkrótce to miejsce opuszczę. Natomiast jeśli wyjeżdżam i chcę powiedzieć, że wrócę tutaj, gdzie teraz jestem, powiem „*I'm coming back*”. Nie ma czegoś takiego jak „dom nadrzędny”, co być może jest bardziej logiczne lingwistycznie, a na pewno jest ciekawą różnicą między naszymi językami.

Czym jest dla mnie Gdańsk? Jest miejscem, do którego (nierelatywnie) wracam. Miastem, w którym nie potrafię się zgubić, nawet, kiedy czasem chcę. Po którym potrafię się przejść z zamkniętymi oczami nie ruszając się z miejsca i w którym z każdą uliczką, chodnikiem i przystankiem tramwajowym wiąże się jakieś wspomnienie, albo chociaż odległy obraz z pamięci. Małą rzeczywistością, która kiedyś była wszystkim, co znałem. I choć teraz znam troszkę więcej, to wszystko to sprawia, że wciąż mogę mówić, że jest to moje miejsce. Czy ma granice czy nie, to mniej istotne. Ale właśnie to „moje” czyni Gdańsk wyjątkowym.

Gdańsk – Cardiff. O miejscu pomiędzy miejscami

Każdej nocy rozpałały się i rosły w światłach, tworząc przed moimi oczami scenę, w której tonąłem jak dziecko przed każdym zaśnięciem.

Część Pierwsza

Gdańsk

Za każdym razem, gdy próbuję przypomnieć sobie momenty z moich najmłodszych lat, wracam myślami do tych specyficznych chwil zaraz przed zaśnięciem. Jestem w stanie doskonale przypomnieć sobie długie leżenie na boku z na wpół otwartymi oczami spoglądając przez okno na nocne niebo. Wierzę, że z zewnątrz te momenty przelatowały jak każda inna minuta na zegarze, lecz w tych właśnie chwilach pamiętam, że najłatwiej było mi wejść do świata wyobraźni. Cisza i spokój pod koniec dnia najbardziej sprzyjały rozmyślaniom, o wiele bardziej niż zamieszanie w przedszkolach i o ile łatwiej było wtedy spojrzeć na wszystko z zewnątrz.

Były w tym też wyjątki – rysowanie było jednym z nich. Przypominały mi się konkursy u pani wychowawczyni na rysunki postaci, w których potrafiliśmy brać udział godzinami. Pamiętam ile zabawy mieliśmy

5 Wyróżnienie w konkursie ogłoszonym przez Prezydenta Miasta Gdańska: „Gdańsk, moje miejsce bez granic”, 2015.

w rysowaniu ich, ile uwagi przykładaliśmy do tworzenia historii kto, z kim co robił i gdzie. Ilekroć tylko zmieniałem przedszkole pamiętam, że wszędzie mogłem znaleźć kogoś, kogo to interesowało – każdy wtedy uwielbiał wyobraźnię. Wygrana w konkursach nie polegała tylko na byciu najlepszym, ale też na rozmowach z innymi dziećmi, o tym co, kto robił na tym obrazku. To były czasy, gdy wyobraźnia była nie tylko przygodą samą w sobie, ale była też popularna.

Momenty przed zaśnięciem potrafiły sprowadzić moją koncentrację z powrotem do tych specyficznych wyrzutów na jakie wpadałem w ciągu dnia. Nigdy nie potrafiłem tego do końca wytłumaczyć, ale z jakiegoś powodu w młodości cały czas pragnąłem znaleźć się w paru miejscach jednocześnie i zrobić wszystko na parę różnych sposobów. Oczywiście w tym wieku wszystko wydawało się sprawą życia i śmierci, więc już w tym wieku byłem w ciągłej potrzebie zrobienia paru rzeczy jednocześnie – nigdy nie chciałem wrócić do domu z myślą, że coś przegapiłem. Przejście dłuższą drogą chodnikiem lub pójście na skróty przez trawę – „co by się mogło stać gdybym zamiast przez chodnik, przeszedł przez trawę?”. Ile możliwych scenariuszy mogło się zrodzić w najbardziej nieoczekiwanych sytuacjach – wystarczyła tylko odrobina wyobraźni.

A ile było rzeczy, które w gwarze dnia dały się tak łatwo pominąć? Podczas wycieczki szkolnej na Górę Gradową fotografowaliśmy panoramę jaka rozciągała się dookoła na ulicę Długą i na kościół Mariacki oraz na kominy Lotosu i niezliczone miasteczka w oddali. Jednak w nocy wracała reszta: głos z megafonu dworca głównego, stalowe belki rozrzucone na placu budowy, kolory ubrań osób wysiadających z autobusu pod kinem.

Jednak pojedyncza rzecz, która najbardziej zapisała mi się w pamięci w tych momentach przed zaśnięciem, obraz który pojawiał się między mrugnięciami to ta rozłożysta, jaskrawa pomarańcz gdańskiego nieba. Zaskakująco ciężko było mi zrozumieć jak nocne latarnie sprawiały, że niebo zaczynało jarzyć się tak silnymi barwami – do pewnego stopnia wszystko wydawało się odrobinę jaskrawsze gdy byłem młodszy. Wpatrywałem się w ten obraz na tyle długo, że stworzyłem analogię do zajęć malarskich, na które już jako dziecko uwielbiałem uczęszczać. Swoista inteligencja jaką kreują te zajęcia łączy zmysły wzroku i motorykę ciała, amplifikując oczy na wszelkie zjawiska optyczne. A jakie to było zjawisko, to mknące, błyszczące na przemian pomarańczą i fioletem niebo. Przykuwało moją uwagę dostatecznie, żeby wyobrazić sobie jak te miliony

wariacji przed moimi oczami były w rzeczywistości dziełem ręki i pędzla wyszkolonego ucznia.

Miałem szczęście dorastać w Gdańsku, w mieście gdzie moje zainteresowania mogły zawsze gdzieś się zrealizować. Niezależnie, w jaką kreatywną działalność się zaangażowałem, zawsze mogłem liczyć na ludzi, którzy będą podzielać moją wyobraźnię. Wrzeszcz i Nowy Port, Stogi, Brzeźno czy samo Centrum wszędzie dało się odczuć energią jaką pulsowało miasto. Jednak Pałac Młodzieży na ulicy Ogarnej był miejscem, z którym nawiązałem szczególny kontakt, ponieważ właśnie w nim zacząłem swoją przygodę z akademicką sztuką rysunku i malarstwa. Koordynacja wzroku i dłoni pociągających za narzędzia malarskie miały stać się od tamtego czasu moją metodą patrzenia na świat, niezależnie od kontekstu na jaki zostały przełożone. Scena rockowa w akademickim klubie lub wieczorki poetyckie w kameralnych teatrach nie podlegały wyjątkowi, podczas gdy każda iskra kreatywności jaka ukrywała się w Gdańsku potrafiła rozbudzić we mnie chęć tworzenia.

Osoby, które poznałem na zajęciach potrafiły również poczuć tę pasję i wspólnie mogliśmy przeprowadzać długie dyskusje o technikach, o artystach i o naszych ulubionych miejscach plenerowych. Wspólne wyjazdy dookoła Gdańska w poszukiwaniu najciekawszych i najbardziej malowniczych części miasta, prowadziły nas do stoczni, zatok i portów, ciasnych uliczek, kościołów otoczonych ogrodami, małych i ogromnych mostów, widoków z najwyższych pięter biurowców. Wszystkie te miejsca pozwalały nam na spojrzenie na Gdańsk z nowej perspektywy. Równie ciekawe jak same podróże były późniejsze prezentacje naszych prac przed nauczycielami i pozostałymi uczniami. Pamiętam ile entuzjazmu potrafiły wywołać nasze opowieści o osobach, które poznawaliśmy w tych miejscach i o dodatkach jakie robiliśmy do naszych rysunków, gdy w trakcie długich rozmów dochodziliśmy do niespodziewanych wniosków na temat rzeczy, które mogły się tam wydarzyć. Osoby, którym opowiadaliśmy o naszych podróżach przez miasto, często wyłapywały nasz entuzjazm i mieliśmy nieraz wiele szczęścia dowiedzieć się o nowych zaułkach w mieście, które wpadały w oko pozostałym uczniom.

Nasza nauczycielka zwykła powtarzać, że „kreatywność jest zaraźliwa”, co w naszym mieście było szczególnie prawdziwe. Zdarzało się, że



Zdj. 1. Stocznie, zatoki i porty były wyjątkowo wdzięcznymi tematami rysunków

inni uczniowie w Pałacu, z którymi rozmawialiśmy o naszych wyjazdach plenerowych, wspominali nam o specjalnych miejscach, w których gdańskie trupy artystyczne organizowały swoje spotkania. Tego typu wiadomości przyjmowaliśmy z wielkim zainteresowaniem, instynktownie wyczuwając, że to jedno z tych miejsc w Gdańsku, które emanowały kreatywną energią. Jednym z nich, było miejsce spotkań grupy Gdańskiego Archipelagu Kultury gdzie organizowano zajęcia kuglarskie pod „Łażnią”. „Łażnią” nazywaliśmy wtedy Centrum Sztuki Współczesnej, gdzie organizowane były konkurencyjne do Pałacu Młodzieży zajęcia rysunkowe. Nazwa nie była w żadnym stopniu pejoratywna, lecz jedynie popularną nazwą szkoły, z którą wielu z nas często konkurowało podczas konkursów malarstwa i rysunku akademickiego. Boisko Gimnazjum nr 9 służyło żonglerom do zebrań, na które przyszliśmy po raz pierwszy w jedno z późnych popołudni końcówki maja. Miejsce nie było bardzo oddalone od Pałacu, więc mogliśmy udać się tam od razu po skończeniu zajęć. Nasi znajomi z kursu wyruszyli wtedy już parę minut wcześniej, żeby zdążyć na rozgrzewkę z pozostałymi. Pamiętam, że w drodze ulicą Jaskółczą towarzyszył nam wspianiały widok wieczornego niebo rozpostarty nad Starą Motławą, doskonale widoczny zwłaszcza gdy przechodziliśmy nad mostem przy Podwalu Przedmiejskim. Nigdy nie zapominałem

pierwszego wrażenia jakie zrobiło na nas to miejsce – zaraz gdy mineliśmy „Łażnię” w lekkim półmroku późnego popołudnia zobaczyliśmy blask rozpalonych pochodni rzuconych w powietrze w rytm zgrany z nagranyymi uderzeniami bębnow. Światło słońca było już nikłe, co było największą bolączką w rysowaniu w plenerze, gdy złudne niebo odbijające ostatnie promienie Słońce potrafiło w przeciągu minut niebezpiecznie zmęczyć wzrok. Nie spodziewaliśmy się zostać na dłużej, lecz co nas zaskoczyło, blask podrzucanych pochodni odbijany od wykończonej jasnym gipsem, masywnej ściany szkoły na przeciwko dawał blask wystarczający do prowadzenia pleneru w nocy. Choć mieliśmy z początku wątpliwości, czy prowadzący pozwoli nam zostać, okazało się, że nie byliśmy pierwszymi, którzy przychodzili do nich na trening rysunkowy. Dowiedzieliśmy się, że wielu rysowników z Gdańska prowadzi szkicowniki wyspecjalizowane w artystach kuglarstwa, którzy w ciągłym ruchu są interesującym tematem rysunkowym.

Gdy przyszliśmy tam w kolejnym tygodniu prowadzący zaproponował nam również, żebyśmy spróbowali własnych sił w kuglarstwie, które, jak mówił, doskonale rozwija refleks i koncentrację, pomocne przy zdawaniu egzaminów. Przedstawił nas też osobom, które uczyły na zajęcia od dłuższego czasu, z których wielu okazało się studiować na Politechnice Gdańskiej kierunku inżynieryjnego. Przekonywali nas, że te treningi pozwalają im nie tylko oderwać się od ciężkich studiów, ale również pomagają skupić się w czasie sesji lub innych egzaminów. Tak zachęceni do ćwiczeń zaczęliśmy na zmianę trenować żonglerkę, co miało stać się wkrótce naszym pobocznym hobby. Najpierw dwoma, a wkrótce kończąc na czterech piłkach poznawaliśmy sztuki rozszerzenia wzroku obejmującego wszystkie wyrzucane elementy oraz skupienie, by nie pozwolić żadnemu z nich upaść na ziemię.

Wszystkie te zajęcia pozwoliły mi niezwykle związać się z tamtą częścią Gdańska. Do tej pory pamiętam szczegółowo wszystkie przejścia od ulicy Ogarnej do Długiej oraz to jakie wrażenie robiła na mnie krystalicznie biała sala Pałacu Młodzieży. Instruktorzy potrafili w tym czasie przyjść odpowiednio wcześniej, żeby specjalnie przygotować ją przed naszym przyjściem i robili to z niezwykłą skrupulatnością. Gdy wchodziliśmy okna od południowej strony po godzinie piętnastej zwykły łać ciepłe, bezpośrednie światło podkreślające czekające już nas elementy kompozycji rysowniczej. Czasami i ja starałem się przyjść

wcześniej na zajęcia, żeby mieć czas na przygotowanie się. Ponieważ nasza pracownia znajdowała się na najwyższym piętrze mogliśmy wejść na dach budynku skąd rozciągał się najlepszy widok na okolicę. Pierwsze co stamtąd widzieliśmy to hotel Qubus oświetlony z dołu przez migoczące wody Starej Motławy. Na prawo od niego rysował się dach Kościoła Św. Piotra i Pawła, zasłonięty częściowo przez nowe bloki mieszkalne. Gdy przechodziliśmy na bok, po zazwyczaj popołudniowo nagrzanym dachu, mogliśmy dojrzeć pomiędzy drzewami historyczne szczyty jednego z gdańskich urzędów. Miałem później żałować nie bycia świadkiem jak koło terenu dawnej Wielkiej Synagogi powstawał Teatr Szekspirowski. Dach Pałacu był jednym z najlepszych punktów do obserwowania jak wznosił się tydzień po tygodniu i fantastycznie byłoby uwiecznić go, jak również wszystkie pozostałe części tej niezwyklej panoramy.

Niesamowitym fenomenem tego miejsca było przejście z oglądania go najpierw z poziomu tramwaju i zamianę jaką przechodziło w widoku z góry. Czasem wyobrażałem sobie, że gdybym mógł dodać coś do planu budynku, zbudowałbym od tej strony szklaną windę, która pozwoliłaby uczniom na zauważenie tego zjawiska. Sam mógłbym też wtedy dokładnie zaznaczyć na kartce każdą ze zmian przez jakie przechodził ten niesamowity krajobraz podczas wznoszenia się nad nim piętro po piętrze.

Zupełnie inaczej prezentowała się druga strona, gdzie początek miała gęsta tkanka starego miasta – miejsce, gdzie, jak wierzyłem, skupiała się cała energia miasta. Zamknięte w szczelny prostokąt historyczne budynki stały ubite w wielokątne pasy, a pomiędzy nimi wydawało się ukrywać tysiąc lat historii Gdańska. Z najwyższego piętra widok w jego stronę zaznaczał się jako nieskończony krajobraz czerwonych dachówek, których wzór rozbijał się raz po raz przez różnice w wysokościach pięter. Na lewo w jego gęszczu wzrastała smukła wieża Starego Ratusza, a za nim masywne ściany Kościoła Mariackiego.

Uświadomiłem sobie również, dzięki tym dodatkowym zajęciom, że potrafię lepiej skupić się na pracy w szkole na Jasieniu, do której uczęszczałem już od szkoły podstawowej. Mimo, że już wcześniej potrafiłem sprawnie przyswoić sobie materiał z zajęć, zacząłem od pewnego czasu znajdować lepsze sposoby, na szybsze zapamiętywanie tematów w szkole. Kreatywność jaką pobudzały dodatkowe zajęcia potrafiła się przenieść na lekcje ułamków, testy z przyrody i zajęcia techniki.

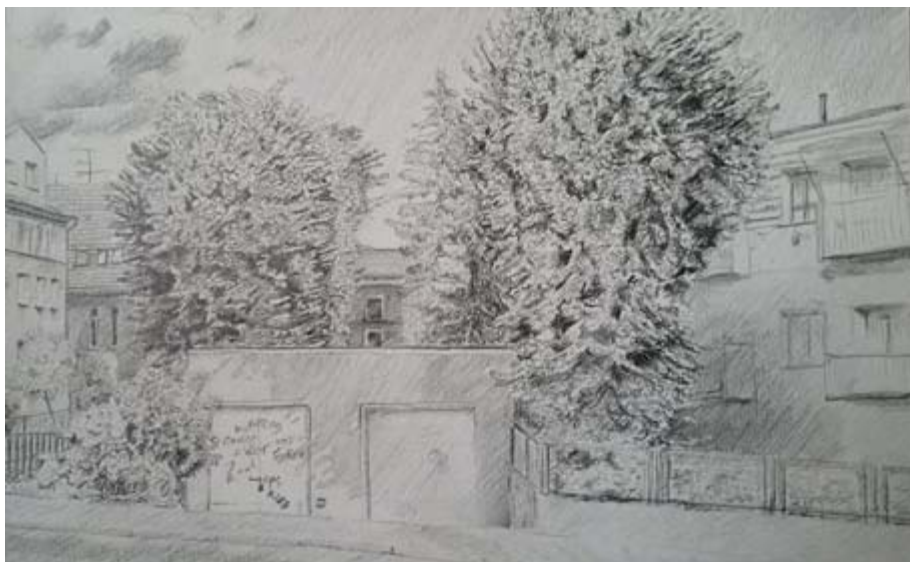
Moi nauczyciele z kolei widząc moje zaangażowanie dawali mi często dodatkowe zadania, na przykład na opowiedzenie historii naszych zadań w kreatywny sposób. Choć musiałem temu poświęcić więcej czasu, nigdy nie sądziłem, żebym miał go za mało, jednak nie raz zdarzało się, że jedno z bardziej wymagających zadań trzymało mnie przy biurku do późna w nocy. W ten sposób jednak królowie polscy potrafili ożywać na kartkach moich komiksów, a historia Gdańska stawała się wyrazistsza między wierszami eseju. Przypomniała mi się wtedy też pomysłowość z jaką tworzyliśmy nasze krótkie historie w przedszkolu i zaskakiwało mnie jak szczegóły z lekcji w szkole stawały w analogii do niewinnej kreatywności z najmłodszych lat.

Pewnego dnia nauczyciel plastyki, widząc moje portfolio rysunkowe, zaprosił mnie do swojego piątkowego koła zainteresowań. Miejsce spotkań różniło się znacznie od sal, w których ćwiczyłem rysunek poprzednio. Zarówno w rozmiarze, jak i położeniu – podczas gdy w Pałacu rytm miejsca nadawał wysoki sufit i pedantyczna sterylność powierzchni płaskich, nasze szkolne koło kontrastowało kameralnością zamkniętą w niewielkiej piwnicy. Porozwieszane luźno draperie i porozrzucane przedmioty z zajęć mówiły jednak wyraźnie o miejscu, które emanowało energią. Miejsce dzielone było z kołem teatralnym, co stawiało nas w o tyle dobrym położeniu, że wszystkie rekwizyty pożyczone niekiedy z samego Teatru Wybrzeże, mogły zostać przez nas użyte do ćwiczeń rysunkowych. Pamiętam też wyraźnie okrągły, drewniany stół, dookoła którego siedzieliśmy rysując przedmioty. Pamiętam, że jego brak kantów nadawał się doskonale zarówno do pracy jak i do nawiązywania kontaktów z innymi uczniami.

Pod koniec zajęć siadaliśmy razem z naszym nauczycielem przy stole i omawialiśmy prace wszystkich osób. Podobała mi się w tych momentach otwartość na jaką mogliśmy sobie pozwolić, gdy zostawała na zajęciach tylko już grupka z nas. Mogłem wtedy opowiedzieć o plenerach, na które chodziliśmy z uczniami z Pałacu dookoła gdańskiego centrum. Nasz nauczyciel przywoływał wtedy swoje własne wyjazdy, na które zwykł się wybierać w ramach kursu na Akademii Sztuk Pięknych w Gdańsku. W kontraście do naszych wyjazdów, on wspominał najęskniej okolice gdańskiego Wrzeszcza. Przywoływał zmiany jakim ta okolica uległa w ciągu tylko ostatnich paru lat. W trakcie jego opowieści pamiętam, że poczułem nieodpartą chęć zwiedzenia tej części Gdańska

w specyficznym poczuciu dramatycznych zmian, które to miejsce przejdzie gdy będę dorastał. Poczułem, że warto byłoby je uwiecznić zanim to się zdarzy.

Przecucie, którym się wtedy kierowałem, było wyraźnie skierowane w stronę historycznych części Wrzeszcza. Doskonale zdawałem sobie sprawę z nowoczesnej architektury jaka powstawała wzdłuż alei Grunwaldzkiej, więc zacząłem swoje badania od rozłożonego po jej bokach Parku Jaśkowej Doliny i alei Legionów. Szczególnym uwielbieniem darzyłem sceny pomiędzy ceglаныmi domami rozsianymi szczerze w całym rejonie. Zarośnięte ogrody lub opuszczone zaułki miały wyjątkowy charakter, na którym bardzo zależało mi w moich pracach. Wysokie sufity i co za tym idzie, okna dawały niesamowite efekty świetlne, gdy Słońce zaczynało się ocierać o udekorowane okna i malowane, drewniane framugi. Łatwo było wyobrazić sobie sceny jakie mogły toczyć się w tych miejscach – parę kochanków siedzących pod drzewem lub grupę dzieci ukrywających się w trakcie gry w jednej z ciemnych uliczek. Szczegółowe opracowywanie proporcji i kształtów wszystkich przedmiotów w scenie, później nakładanie na nie światła i cienia, pozwalało mi się niesamowicie związać z tymi miejscami. Szczególnie, że czasem musiałem wracać do



Zdj. 2. Bujne drzewa i gęsta zabudowa charakteryzowały kameralny charakter Wrzeszcza

niektórych z nich parę razy, gdy praca przedłużała się do paru dni. Zmieniające się światło i czasem niesprzyjające warunki pogodowe zmuszały mnie do ciągłego ruchu, żeby uciec przed bezpośrednim światłem padającym na kartkę lub zasłonić się przed deszczem.

W tym samym czasie osoby przechodzące obok mnie często przyglądały się z zainteresowaniem mojej pracy. Starsze osoby wracające z zakupów lub artyści, żyjący w okolicy zwykli pytać się o moje rysunki. Dawało mi to okazję do poznania osób w tej okolicy i wzbogacania swojej wyobraźni opowieściami osób żyjących w tamtych miejscach. Wielu z nich opowiadało mi o historii, która czasem sięgała nawet do okresu sprzed wojny. Rozmowy z nimi pozwalały mi też odzyskać często zainteresowanie miejscami, w których niejednokrotnie spędzałem godziny na powolnej i skrupulatnej pracy.

Centrum Gdańska również potrafiło zainspirować moje prace, choć w inny sposób, niż Wrzeszcz. Skala i charakter budynków zawsze wydawały mi się donioślejsze w Centrum, podczas gdy atmosfera Wrzeszcza była o wiele bardziej kameralna i nieformalna. Wieżowce Centrum dawały niespotykane we Wrzeszczu długie cienie, które zmieniały wtedy drastycznie charakter okolicy. Pamiętam wyjątkowo dobrze pracę spod Hotelu Mercure, oddalonego niewiele od Centrum Madison i wieżowca jednej z zagranicznych firm, na którym udało mi się wyłapywać jak on oraz jego otoczenie zmieniały charakter w trakcie dnia. Fascynującym było zauważać reakcje przechodniów na zmiany w okolicy, jak na przykład w restauracji obok, gdzie klienci zawsze od około godziny trzynastej odchodzili od stolików na zewnątrz, gdy zaczynał docierać do nich blask Słońca odbijany od okien hotelu.

Gdański pisarz Paweł Huelle, powiedział kiedyś, że prawdziwa kreatywność nie ma niczego wspólnego z wiedzą. Wprost przeciwnie wyobraźnia potrafi karmić się sama sobą i nie potrzebuje dat, nazwisk, faktów. Najlepsze rozwiązania są najprostsze i wielki artysta potrafi nawet w najzwyklejszych wydarzeniach dostrzec początki wielkich historii. Pamiętam, że ta myśl długo siedziała mi w głowie, a dniem w którym najwyraźniej dostrzegłem jej znacznie był dzień, gdy udaliśmy się ze znajomymi na coroczny Bałtycki Festiwal Komiksu w Bibliotece Wojewódzkiej. Zdążyliśmy wtedy dojechać szczęśliwie akurat na spotkanie



Zdj. 3. Hotel Mercure górujący nad okolicą

z Davidem Lloydem, jednym z artystów stojących za grafiką sławnej ilustrowanej historii „V jak Vendetta”. Przypominam sobie nasze zafascynowanie słowami Davida opisującego własną pracę, która była według niego „prosta, a nawet naiwna”. Nawiązująca jego zdaniem do jedynie powierzchownych wiadomości i wydarzeń i dzięki temu, mówił, zainspirowała liczne grona akademickie do dogłębnego przestudiowania tych faktów historycznych z przedstawionego w niej punktu widzenia. Po wyjściu ze spotkania z Davidem pamiętam wrażenie jakie zrobiła na mnie oryginalność i rozmach festiwalu. Organizatorzy tak świetnie zgrali wszystkie spotkania, dobrali tłumaczy, przygotowali upominki dla gości, które do dziś trzymam obok autografu Davida, że w jego czasie zawsze towarzyszyło nam wrażenie obecności pewnego dobrego rozplanowania. Zwłaszcza nowoczesny design jakim poddane były wszystkie te leżące dookoła

produkty zapisał się w mojej pamięci wyjątkowo wyraźnie w połączeniu z wywołanym przez nie entuzjazmem gości. Ta pomysłowość i troska jaka oddana była dobremu designowi przypominało mi tę, którą my, jeszcze jako dzieci w przedszkolu darzyliśmy nasze prace. To wszystko zainspirowało mnie do spróbowania przełożenia moich akademickich zdolności rysunkowych na to specyficzne środowisko, które w Gdańsku obracało się zawsze wokół Biblioteki Komiksowej, wtedy mieszczącej się na osiedlu na Suchaninie.

Nie przeliczyłem się również w nadziei, że energiczni ludzie, których spotkałem na festiwalu będą również obecni w Bibliotece. „Komiksiarnia”, jak mi ją przedstawiono na miejscu, była wtedy w dynamicznym rozwoju, w ramach którego właściciele mówili o przeniesieniu do najwyższych części miasta. Ta wizja zmian towarzyszyła nam do pewnego stopnia zawsze na zajęciach. Kultura komiksów, o której nigdy nie mówiono na równi z „wysoką sztuką” wydawała się przechodzić rewolucję, w ramach której młodzi autorzy zyskiwali na popularności. Pamiętam na ile pomysłów wpadaliśmy w trakcie naszych spotkań, na innowacyjne sposoby wykorzystania internetu lub nowych, elektronicznych wynalazków.

Innowacyjność i intelektualna wolność jaką tam zastałem, była też katalizatorem do zachowania rozwagi w planowaniu naszej przyszłości. Prowadzący poświęcali dużo uwagi na zachowanie systematyczności w szkole, a czasem organizowali specjalnie dla nas dodatkowe zajęcia z matematyki lub fizyki. Promowanie pomysłowego podejścia do nauki, było traktowane bardziej jak misja niż obowiązek i niektórzy prowadzący potrafili przygotować wieczorem dla nas specjalne makiety, których przejście wymagało odpowiedzenia na pytania z podręcznika.

Powaga z jaką instruktorzy podchodzili do naszej nauki dawała mi coraz więcej do myślenia nad moim kierunkiem studiów. Będąc z jednej strony świadomym możliwości jakie dawały kierunki ściśle inżynierskie, nie chciałem porzucać kreatywności i artystycznego spojrzenia na świat, jaki już od najmłodszych lat w sobie rozwijałem. Przełomowym momentem tamtego czasu było odwiedzenie z tatą Wydziału Architektury Politechniki Gdańskiej i bliższy wgląd w prace studentów. Pamiętam swoje zaskoczenie na widok technicznych rozwiązań i grubych podręczników przełożonych na proste i eleganckie pomysły budynków. Analogia jaką potrafiłem znaleźć pomiędzy tworzonymi przez nich rysunkami i wszystkimi moimi pracami zachęciła mnie do zgłębienia tematu architektury

w większym stopniu. Akademickie prace, nad którymi pracowałem wcześniej zdecydowanie mieściły się w ramach sztuki, lecz wątpiłem, czy mogły posłużyć również w procesie projektowania architektonicznego. Dopiero rozmowy jakie przeprowadziłem ze studentami wydziału, utwierdziły mnie w przekonaniu, że wartość architektury leżała w amalgamie różnych umiejętności, zaczynających się od myśli technicznej i kończących się na czystej kreatywności. Dowiedziałem się o rewolucyjnych postępach w technologii, które zniosły wiele granic w zawodzie architekta. Te oraz późniejsze, fascynujące rozmowy jakie miałem okazję przeprowadzić na Politechnice Gdańskiej utwierdziły mnie w przekonaniu o realności zrealizowania moich pasji na kierunku architektury.

W tym samym czasie podczas jednej z wciąż gorliwie prowadzonych przeze mnie tras plenerowych zgłębiających uroki Starego Miasta i pozwalających mi kontynuować studia sztuki rysunku, dane mi było spotkać wyjątkowo intrygującą osobą. Gdy przystanąłem na progu jednej ze starych kamienic na ulicy Ogarnej i przygotowywałem się do szkicu niewielkiego ogrodu naprzeciwko, niespodziewanie otworzyły się za mną drzwi. Wyszła z nich pracowniczka jednego z gdańskich biur architektonicznych, co nie przyszłoby mi do głowy, gdybym odwracając się zaskoczony w jej stronę nie zauważył wypalanej w drewnie tabliczki informacyjnej. Ponieważ zaczynałem w tym czasie być zainteresowany studiami w jej zawodzie zapytałem się niepewnie o opinię o tym zawodzie. Co mnie zaskoczyło, architekt nie potrafiła mi udzielić porady na temat studiów w Gdańsku, ponieważ swój dyplom odbierała na uniwersytecie w Nowym Jorku. Choć też aplikowała na Politechnikę Gdańską, została w ostateczności przyjęta na studia w Ameryce, o które, mówiła, starała się już w moim wieku, w trakcie jednych z jej szaleńczych wyjazdów za Atlantyk, bez grosza przy duszy, lecz za to z marzeniami à la Amerykański Sen. Było to ogromnie zaskakujące dla mnie, podczas gdy wcześniej nie brałem pod uwagę możliwości wyjazdu na studia za granicę.

Odwiedziny Wydziału Architektury w ostateczności popchnęły mnie do zapisania się na kurs przygotowujący w szczególności do egzaminów na tym kierunku. Oczywiście Gdańsk mnie nie zawiódł w znalezieniu bogatej oferty szkół, lecz z powodu już w tym czasie mocno napiętego grafiku, puchnącego coraz bardziej wraz ze zbliżającymi się egzaminami maturalnymi, wybór między nimi nie był łatwy. W ostateczności

wybrałem „Kuźnię” bazując na dobrej reputacji wśród długiej listy osób w mojej szkole podzielających moje aspiracje na dostanie się na kierunek architektury. Egzaminy, które tam przeszedłem utwierdziły mnie w przekonaniu, które zostało mi jeszcze wpojone, że największych artystów cechuje wszechstronność, o czym przekonywano mnie już w czasie uczenia się w Bibliotece Komiksowej. Jak się okazało, egzaminy na architekturę wymagały umiejętności na wielu zróżnicowanych polach, zarówno artystycznych, jak i analitycznych.

W tym czasie jeden z moich nauczycieli z poprzednich lat, który prowadził swoje własne biuro architektoniczne, napotkał mnie pewnego dnia, gdy wracałem ze szkoły. Gdy dowiedział się o mojej decyzji o studiowaniu architektury zgodził się wziąć mnie na jeden dzień do swojego biura, żebym zapoznał się z faktyczną pracą architektów. Ucieszyłem się ogromnie na tę wiadomość, ponieważ chciałem przekonać się na własne oczy w jakim stopniu lekcje na uniwersytecie, lub nawet na zajęciach do niego przygotowujących, dają się przełożyć na profesjonalne planowanie architektoniczne.

Mając tę myśl w głowie oraz entuzjazm z jakim mówił o swojej pracy przyjechałem z samego rana do jego biura w gdańskim Wrzeszczu. Pokazał mi wtedy projekt szpitala, nad którym obecnie pracowali i zapytał czy byłbym zainteresowany pomocą w przeprowadzeniu pomiarów części budynku, które były potrzebne do wykonania nowych planów. Podróż w jaką się udałem z jego asystentem do oddalonego paręnaście kilometrów budynku, dała mi doskonałą okazję do porozmawiania z pracującym dla niego świeżym absolwentem szkoły architektonicznej w Gdańsku na temat projektów i nauki na studiach. Udzielił mi wtedy cennej porady, która miała od tego czasu służyć mi w przyszłych pracach. Podkreślił wagę rysunku, który jego zdaniem był fundamentalną częścią każdego projektu architektonicznego.

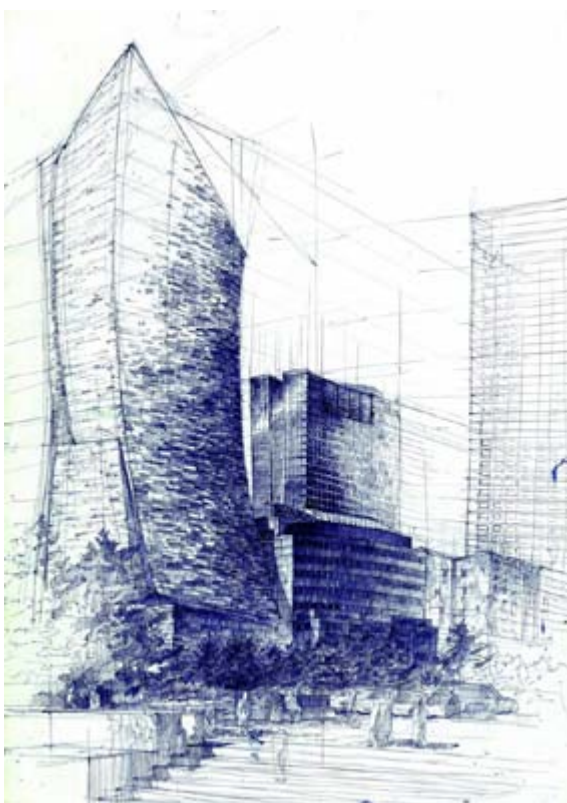
W czasie rozmów z osobami, które poznawałem w tym czasie w „Kuźni” zacząłem też dowiadywać się o trendach i charakterze wydziałów architektury w Gdańsku i pozostałych miastach. Doszły do mnie również wieści o szkole w Warszawie „Domin”, której uczniowie podobno od wielu lat wykazywali się znakomitością w zdawaniu egzaminów do polskich szkół architektury. Pomimo odległości pomiędzy naszymi miastami nie potrafiłem pozbyć się z głowy niesamowitego poziomu jaki szkoła prezentowała. Pierwsza rozmowa telefoniczna z właścicielem szkoły jedynie

pogłębiła wątpliwości, gdy powiedziano mi, że publicznie publikowane rysunki są jedynie średnim poziomem szkoły, a największe „perełki” są trzymane wyłącznie dla zapisanych uczniów. Zdałem sobie sprawę z wyzwania jakie to przede mną stawia, jednak nie potrafiłem od tamtego czasu pracować w ten sam sposób, wiedząc o możliwościach jakie kryły się w „Dominie”. Zdecydowałem wtedy zorganizować wyjazdy, dzięki którym miałem być w stanie co weekend wyjeżdżać do stolicy i pobierać tam lekcje.

Choć plan z początku wydawał się wyjątkowo trudny w realizacji, wraz z drugim i trzecim wyjazdem, podróże stawały się coraz łatwiejsze w przeprowadzeniu. Jak się okazało nie byłem jedynym uczniem z Gdańska, który zdecydował się na takie wyjazdy i w niedługim czasie nawiązałem nowe, fascynujące znajomości. Nauczyciele byli wymagający, lecz nigdy nie potrzebowalem prosić ich o wolniejsze tempo i wkrótce zaczynałem dościgać moich rówieśników, którzy uczęszczali do szkoły dużo wcześniej ode mnie.

Godziny jakie dzieliły dwa miasta skutecznie uniemożliwiły powroty tego samego dnia i wymuszały zostanie w stolicy na noc. Jednak pokoje mieszkalne jakie oferowała szkoła zapadły mi w pamięć z powodu niesamowitego widoku jaki rozpościerał się za oknem na warszawskie wieżowce. Położona w centrum miasta szkoła miała widok wprost na właśnie budowany trzydziestoośmiopiętrowiec otoczony znanymi polskimi ikonami architektonicznego modernizmu. Zapalone w ich wnętrzach światła rozpanaszały się co noc, tworząc niepowtarzalny, rozpościerający się przed moimi oczami widok, za każdym razem gdy układałem się do snu. Zdawało mi się czasem, że magazynowałem każdego weekendu odrobinę energii tylko po to, by przed zaśnięciem dać sobie chwilę na zanurzenie się przy tym widoku w myślach. Podobnie jak w moich najmłodszych latach, potrafiłem spojrzeć na oświetlone od spodu niebo i wyobrazić sobie niesamowitości nie z tego świata, tak wydawało mi się, że spoglądając na błyszczące, warszawskie wieżowce i uzmysławiając sobie ile szczęścia mnie spotkało będąc tam, te niesamowitości zaczęły mieć miejsce w rzeczywistości.

Pomimo ogromnego wyzwania jakie postawiła przede mną warszawska szkoła udawało mi się z tygodnia na tydzień tworzyć coraz to lepsze prace. Miałem też okazję wyjechać z moją grupą na plener do Spychowa,



Zdj. 4. Centrum Warszawy wypełnione wieżowcami

w czasie którego zorganizowaliśmy próbne egzaminy na studia architektoniczne. Ponieważ termin prawdziwych egzaminów zbliżał się wielkimi krokami musiałem skoncentrować się na specyficznych wymaganiach gdańskiego egzaminu.

Po napisaniu matury kandydaci na studentów architektury musieli jeszcze poczekać na osobny egzamin na wydziale architektury w Gdańsku. Egzamin składał się z paru części, w trakcie których sprawdzane były osobno nasze zdolności projektowe, rysunkowe i analityczne. W trakcie egzaminów aplikujący zbierali się na placu wewnętrznym głównego budynku i musieli w przeciągu godziny narysować przedmioty ułożone na placu. Wraz z osobami, które podróżowały ze mną do Warszawy przyjechaliśmy parę dni przed samymi egzaminami na Politechnikę, żeby przeanalizować tegoroczną kompozycję na placu.



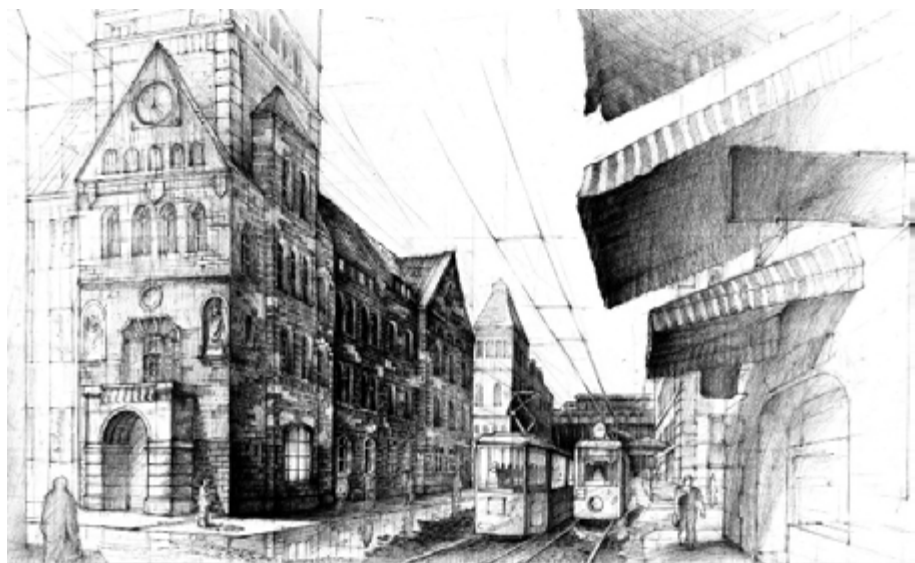
Zdj. 5. Podczas dni spędzonych nad szkicowaniem placu Politechniki nawiązałem więź z miejscem

Nie zdając sobie wtedy jeszcze sprawy z wydarzeń jakie miały się rozegrać w najbliższych miesiącach, rysując późnym popołudniem z przyjaciółmi na placu Politechniki Gdańskiej zaczynałem się niebezpiecznie przywiązywać do tego miejsca. Architektura budynku zawsze robiła na mnie ogromne wrażenie, lecz zaczynałem odczuwać jak wewnątrz jej murów braliśmy udział w czymś wyjątkowym. W końcu już za tydzień wokół tego samego miejsca będą przechodziły setki aplikantów z całego Pomorza, wykonując te same zadania i będą ocenianymi przez te same osoby, które parędziesiąt lat temu przechodziły również przez to samo. Poczucie historii ukrytej w ceglanych murach Politechniki napawało mnie dumą. Pamiętam, wychodząc z budynku, jak promienie zachodzącego Słońca przebijały się przez splecione gałęzie rzędów drzew ciągnących się wzdłuż ulicy Narutowicza rzucając długie cienie i dając poczucie charakterystyczne dla ciepłych, majowych wieczorów.

Po skończonych ostatecznie egzaminach wróciłem do Domina na wakacje, żeby dokończyć naukę rysunku na nowym poziomie. Ponieważ uprzedzono mnie o jego kluczowej roli w procesie projektowym na studiach architektonicznych widziałem w tym wyjeździe niepowtarzalną okazję do przygotowania siebie do pierwszego roku studiów.

Z nadejściem lipca do warszawskiej szkoły zaczęli napływać kolejni licealiści aplikujący na studia architektoniczne. W tym czasie mnie i mojemu przyjacielowi z Gdańska udało się zebrać na tyle dużo punktów w szkolnych rankingach, że dyrektor szkoły przydzielił nas do grup, jako prowadzących. Ta metoda była o tyle skuteczna, że nie tylko otrzymywaliśmy porady od naszych własnych prowadzących, ale mogliśmy również utrwalić sobie techniki, których nauczono nas wcześniej, przekazując je naszym własnym uczniom. Ponadto prowadzenie grupy przez dłuższy okres czasu pozwalał na przypomnienie sobie, swoich własnych błędów, pełniejsze zrozumienie tych wciąż obecnych i w ogólnym rozrachunku umiejętności samokrytyki.

W trakcie jednego z tych plenerów dostałem telefon od Kapituły Stypendialnej Urzędu Miejskiego w Gdańsku informujący o pozytywnym rozpatrzeniu mojego wniosku o stypendium naukowe na wyjazd za



Zdj. 6. Ostatni rysunek zanim zacząłem przygotowania do wyjazdu

granicę. Przyjąłem to z ogromną radością, przypominając sobie porady architekt z Gdańska, która wyjechała na studia do Nowego Jorku. Sława absolwentów brytyjskich uczelni jak Norman Foster czy Richard Rogers zachęcała mnie do podjęcia decyzji, przełożenia mojej dotychczasowej edukacji na zagraniczne wymagania. Fakt, że duża część mojej licealnej klasy miałaby studiować ze mną gdybym został na Politechnice Gdańskiej, jednak wiedziałem, że jeżeli chcę tworzyć architekturę na najwyższym poziomie muszę podjąć pewne decyzje.

Część Druga

Cardiff

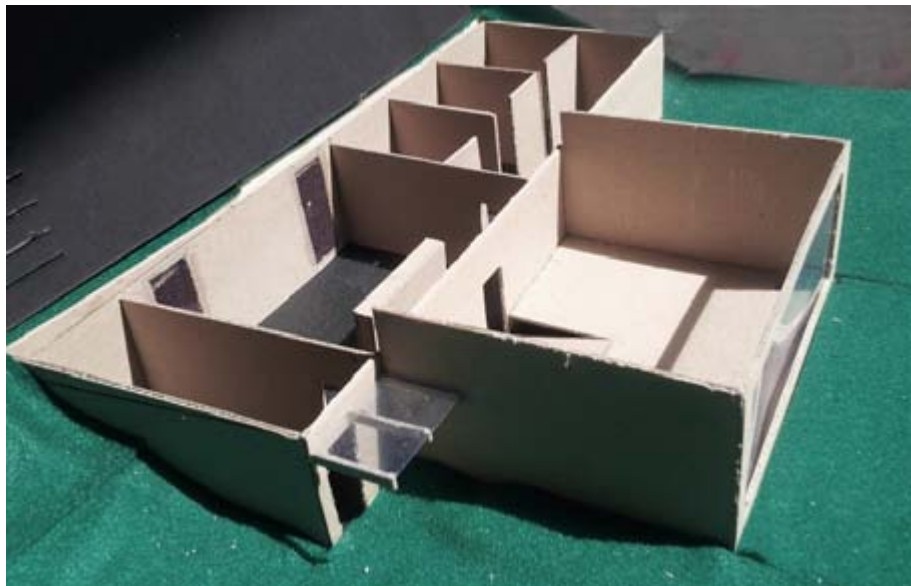
Uczelnia Cardiff, nazywana Walijską Szkołą Architektury, w rezultacie nie zawiodła moich oczekiwań zabierając nas do wielu europejskich centrów architektury jak Londyn, Stuttgart, Barcelona. Projektowanie w Cardiff okazało się swobodniejsze i niepodyktowane odgórnie przez podręczniki. Zamiast tego na pierwszy miejscu stawiana jest, tak uwielbiona przeze mnie od najmłodszych lat wyobraźnia.

Co mnie szczególnie zaskoczyło, same pomysły na budowle, które widziałem na Wydziale Architektury Politechniki Gdańskiej zostały postawione w nowej szkole na pierwszym miejscu. Pierwszy rok naszych studiów pokrywał tylko w minimalnym stopniu techniczne rozwiązania i architektoniczne teorie. Najważniejsza była nauka przez praktykę, pracę w grupie i samodzielne badania w bibliotece lub na zewnątrz testując stworzone modele budowlane. Wyobraźnia była kluczowym elementem, podczas gdy brak podręczników nie wskazywał najlepszej drogi na rozwiązanie zadań, konieczne były metody prób i błędów, które choć wymagające więcej wysiłku, w ostateczności nauczyły nas o wiele więcej.

Jednym z projektów był teoretyczny budynek na walijskiej plaży Gower, której naturalny krajobraz zaliczany jest do listy AONB, miejsc o wyjątkowym naturalnym pięknie. Historia mojego projektu opowiadała o kapitanie statku, którego pokładowy złym trafem losu sprowadził statek na mieliznę. Gdy przyplływ minął statek osiadł na dobre na plaży Gower i rozwścieczony kapitan wygnał swojego pokładowego z załogi.

Pomimo próśb załogi kapitan porzucił statek i cały dobytek, który był nim wieziony. Tym czasem pokładowy nie mając gdzie się dalej udać osiadł niedaleko miejsca gdzie rozbił się statek i założył niewielkie miasto, które po dziś dzień wita licznych turystów przyjeżdżających zobaczyć już ponad stuletnie szczątki statku „Helvetia”.

Pomysł na zainspirowany tak budynek miał go zamienić jednocześnie na monument. Kształt budynku przypominający łudząco okręt „Helvetii” korzystając z naturalnych warunków terenu miałby w kolejnych latach stopniowo się odsłaniać, podczas gdy z drugiej strony wrak historycznego statku zanikać.



Zdj. 7. Mój pierwszy model architektury-monumentu nawiązującego do miejsca

W przeciągu ostatnich dwóch lat miałem też okazję wyjechać z dwoma grupami do Barcelony, gdzie pracowaliśmy nad projektem w okolicy nazwanej 21@, będące referencją do rewitalizacji tej części miasta na nowoczesną architekturę dwudziestego pierwszego wieku. Nasz profesor dał nam również okazje, poza pracą nad teoretyczną instalacją na miejscu, żeby porozmawiać z osobami rzeczywiście nad nim pracującymi. Dowiedzieliśmy się od nich jak ważne jest w pracy architektów prowadzenie konsultacji z osobami odpowiedzialnymi za różne regulacje

w mieście, biznesmenami lub wyspecjalizowanymi inżynierami, którzy mogą być zaangażowani w architektoniczne projekty.

Poza tym nasz profesor zabrał nas na budowę słynnego kościoła Sagrada Familia, który budowany od wielu lat był jednym z najodważniejszych przedsięwzięć architektonicznych jakie miałem okazję oglądać. Wprowadzono nas na najwyższe piętra budowy, na których wyeksponowane stalowe rusztowanie pozwalało na jeszcze dokładniejsze dostrzeżenie poziomu skomplikowania konstrukcji. Kościół, którego początki budowy sięgają czasów długo przed wynalezieniem pierwszych programów do projektowania komputerowego, był pionierskim przedsięwzięciem budowania skomplikowanych form architektonicznych. Możliwość dostrzeżenia wszystkich szczegółów ukrytych wewnątrz porcelanowych płyt i betonowych form dała nam niesamowitą inspirację do pracy.

W połowie roku zaproponowano nam również wyjątkową okazję na wzięcie udziału w wymianie Erasmus. Ponieważ powiedziano nam o wysokim poziomie nauczania w niemieckich szkołach zaaplikowałem i wkrótce dostałem się na wymianę z Uniwersytetem w Stuttgarcie. Wymaganiem wymiany była płynna znajomość języka niemieckiego, co postawiło przede mną nowe wyzwanie. Chociaż wymiana miała trwać krócej niż normalnie, byłem przekonany o ogromnych możliwościach jakie się w niej kryją.

W celu szybkiego nauczenia się języka do wymaganego przez uczelnię poziomu, zaproponowano mi wyjazd na wakacyjną szkołę do Berlina, której koszty częściowo zostały pokryte ze specjalnego programu uniwersytetu w Cardiff. Wyjazd do tej znakomitej szkoły językowej wydawał mi się niezwykle atrakcyjny nie tylko dzięki możliwości solidnego nauczenia się języka niemieckiego, ale też poznania architektonicznie kluczowej, europejskiej stolicy. W czasie nauki w szkole GLS miałem okazję odwiedzić liczne architektoniczne projekty, które okryły się sławą w ostatnich latach lub widniały często w książkach historycznych. Budynek Reichstagu, na przykład, odnowiony po wojnie przez biuro Normana Fostera lub też Muzeum Żydowskie zaprojektowane przez Daniela Liebeskinda. W ten sposób mogłem połączyć naukę nowego języka z moimi wymagającymi studiami.

Dużo nauczyłem się również od ludzi, których poznałem podczas tego wyjazdu. Osoba, od której wynajmowałem pokój, pracowała właśnie nad

otworzeniem swojej pierwszej agencji reklamowej i w zamian za moją pomoc w przemeblowaniu mieszkania, zgodziła się udzielić mi wielu życiowych porad na temat biznesu i pracy w firmie, w których nie miałem wtedy wiele doświadczenia. Historia jej kariery i pracy w firmach w Paryżu lub w Londynie posłużyła mi za inspiracją do przemyślenia swojej przyszłości na rynku architektury.

W trakcie jednej z przerw od nauki w berlińskiej szkole, wróciłem do na parę dni do Gdańska. Jak się okazało w tym czasie w Teatrze Wybrzeże odbywał się właśnie IV Światowy Zjazd Gdańszczan, w którego organizacji pomagało nasze Stowarzyszenie Stypendystów Fahrenheita. W trakcie Zjazdu zaskoczeniem była dla mnie okazja wykorzystania w praktyce moich lekcji języka niemieckiego, podczas gdy niektórzy z gości posługiwali się wyłącznie tym językiem. Z jednej strony było to wyzwanie, ponieważ dopiero zaczynałem wtedy moją naukę i nie potrafiłem jeszcze sprawnie ułożyć moich myśli w pełne zdania, jednak z czasem nawet proste zwroty potrafiły zyskać entuzjazm gości, którym pamiętam, że byłem tego dnia bardzo pomocny.

Po skończeniu wakacji wyjechałem z Berlina do Stuttgartu, gdzie przydzielono mnie na okres września do grupy językowej, z którą mogłem zakończyć swoją naukę języka niemieckiego egzaminem na poziomie pozwalającym mi zacząć studia w Stuttgarcie. Wraz z drugą osobą z Cardiff, która wyjechała ze mną na wymianę, na początku października przydzielono nas do poszczególnych drużyn projektowych. Miło było mi się dowiedzieć, że moja drużyna miała okazję pracować z koncernem Bosch nad ich właśnie budowaną siedzibą w Gerlingen. W ramach tego projektu zabrano nas do głównej siedziby Boscha, i w trakcie prezentacji pokazano nam standardy firmy i czego się będzie od nas wymagało jako od architektów firmy.

W tym samym czasie poza pracą nad głównym projektem musieliśmy też wziąć udział w dodatkowych seminariach. W ramach nich pokazano mi słynny instytut ILEK, którego założycielem był znany niemiecki architekt Frei Otto. Jak się później dowiedziałem został on pośmiertelnie nagrodzony jedną z najbardziej zaszczytnych nagród w świecie architektów – nagrodą Pritzkera. Nie będąc tego świadomym wziąłem udział w seminariach, które jak mi wcześniej powiedziano, będą na bardzo wymagającym poziomie. Chociaż krótki okres czasu jaki tam spędziłem

nie pozwolił mi na pełne wykonanie projektu, dużo się w tym czasie nauczyłem i jak się później dowiedziałem, miałem szansę porozmawiać z jednym z najznakomitszych niemieckich architektów.

Dodatkową okazją podczas wymiany była możliwość skontaktowania się z instytutem projektowania komputerowego, który również był znany w świecie architektury dzięki innowacyjnemu wykorzystaniu nowych technologii ostatnich lat. Chociaż nie miałem okazji zapisania się na zajęcia z nimi, zaproponowano mi ich pomoc przy moim projekcie dla firmy Bosch. Projektowanie parametryczne, w którym instytut się specjalizuje pomógł mi w rozwiązaniu wielu technicznych problemów, w trakcie pracy nad pawilonem do mojego głównego projektu. Inspiracją jaką mi też służył pomogła mi zdefiniować kierunek, w stronę którego chciałem dążyć w mojej dalszej edukacji.

Po zakończeniu nauki w Stuttgarcie wróciłem do Gdańska, gdzie wraz z innymi stypendystami rozpoczęliśmy wytężone prace nad program Mentorship. Celem programu była pomoc ambitnym licealistom w zdobywaniu i rozwijaniu swoich talentów oraz pomoc w aplikowaniu na zagraniczne uczelnie. Będąc jeszcze w Stuttgarcie zaprojektowałem szatę graficzną prezentacji i wizytówek promocyjnych programu, po czym zwróciliśmy się do znajomych szkół w celu wypromowania programu. Ponieważ mój przyjaciel, z którym jeździłem w poprzednich latach wspólnie do szkoły „Domin” w Warszawie, został mianowany prowadzącym nowo powstałego wydziału tej szkoły w Gdańsku, mogłem poprowadzić również w niej specjalną prezentację naszego programu. W jej trakcie poznałem wielu ambitnych studentów, którzy podobnie jak ja w ich wieku mieli ogromny entuzjazm do kreatywnego rozwiązywania problemów. Dzięki temu udało mi się z niektórymi z nich utrzymać dłuższy kontakt i uczyć się od nich, do tego samego stopnia, jak oni mogli się uczyć ode mnie.

W czasie tej przerwy świątecznej skontaktowałem się też ze znajomym architektem, który parę lat temu zaprosił mnie do biura i pozwolił pomóc w swoim projekcie. Mając już więcej doświadczenia w świecie architektury zgodził się wziąć mnie raz jeszcze do swojego biura i pokazać nowe projekty, nad którymi pracował. Było to dla mnie ogromnie interesujące zobaczyć też zdjęcia z budynku, w którym mu pomagałem. Choć nie mogłem wtedy jeszcze pomóc w jego projektowaniu lub rozwiązywaniu technicznych problemów, odczułem niesamowite uczucie, gdy nawet mała część mojego udziału pomogła przygotować nowe plany.

Chociaż nauka nowego języka w krótkim czasie była dla mnie niesamowitą przygodą, po powrocie do Cardiff okazało się być nowym wyzwaniem przypomnienie sobie z powrotem języka angielskiego. I konieczne było przypomnienie sobie go w szybkim tempie, bo zaraz po powrocie musiałem dokonać prezentacji projektów, nad którymi pracowałem w Niemczech. Jak się okazało moje zainteresowanie projektowaniem parametrycznym mogło być poprowadzone dalej w Cardiff, czego nie byłem na początku pewien. Nowy projekt, nad którym mieliśmy zacząć pracę w Cardiff okazał się być zbliżony do moich doświadczeń za granicą, co dodało mi pewności siebie na nowym semestrze, chociaż starałem się mieć na baczności z powodu różnicy wymagań między dwoma szkołami. Podczas gdy w Cardiff większe znaczenia kładziono na kreatywne rozwiązania problemów, szkoła w Stuttgarcie skupiała się bardziej na technicznym podejściu.

Na początku drugiego semestru szkoła zorganizowała nam wyjazd do Zurychu, żeby wykorzystać techniki użyte w tamtejszych budowlach do naszych własnych projektów. Ponieważ drugi semestr studiów zwracał szczególną uwagę na rozwiązania technologiczne, architekci z tamtejszych biur zabrali nas również do zapleczy technicznych swoich budynków, żeby pokazać jak działają urządzenia utrzymujące na przykład optymalną temperaturę i wentylację. Projekt, który przestudiowałem najgłębiej podczas tej podróży należał do biura znanego, hiszpańskiego architekta, którego poprzednie budowle mieliśmy szansę zobaczyć na wyjeździe do Barcelony. Znając rozwiązania jakie stosuje jego biuro było mi łatwiej przenieść jego design na swój własny projekt. Szczególnym wyzwaniem okazała się być wtedy różnica warunków klimatycznych między Barceloną, a Zurychem oraz fakt, że pierwszy wyjazd odbywał się latem, a drugi zimą.

Po powrocie do Cardiff i dokończeniu raportu z wyjazdu udaliśmy się do Hereford, gdzie nasza grupa przygotowywała projekt teoretycznego, nowoczesnego warsztatu wykorzystującego technologie na przykład trójwymiarowego drukowania. Biorąc pod uwagę to czego się nauczyliśmy na wyjeździe nie mieliśmy na celu jedynie zmodernizowania istniejącego miejsca, ale przede wszystkim zgranie jego programu z otoczeniem. Było to szczególnie ważne, ponieważ miejsce na którym budowaliśmy miało bogatą historię, o której dowiedzieliśmy się między innymi od pracowników muzeum i pewnej grupy inżynierów, która wykorzystywała ten

teren do swoich eksperymentów. Dowiedzieliśmy się od nich, że tereny, na których miał powstać nasz projekt, były regularnie zalewane przez rzekę Wye, co mogło stanowić problem dla normalnego użytkowania budynku. Inspiracją dla rozwiązania tego problemu, był projekt zbudowany na palach, na przystani w Zurychu, który też odwiedziliśmy na naszym wyjeździe. Wykorzystując również rzeźbę terenu wykonałem plany w sposób, który połączyłby nową konstrukcję ze starą zabudową muzeum.

Niespodziewana okazała się rozmowa z pracownikami muzeum, podczas której mogliśmy przedyskutować to rozwiązanie. Okazało się, że stawiając budynek w tym miejscu pracownicy straciliby istotną część parkingu, który był im potrzebny w codziennej komunikacji do pracy. By rozwiązać ten problem podzieliliśmy to miejsce na dwie części, zabierając potrzebne miejsce na nową zabudowę oraz tworząc obok nowe miejsca parkingowe.

W połowie projektu odwiedziła nas również profesor zajmująca się badaniem używania naturalnego oświetlenia w architekturze. Podczas zajęć z nią rozpoczęliśmy kolejny etap projektowania ściśle związany z technicznymi rozwiązaniami w naszym budynku. By sprostać wymaganiom narzuconym nam w jego trakcie, wykorzystałem wiele fizycznych jak i komputerowych modeli, będąc jednocześnie pod ciągłym jej nadzorem. Sięgając rady naszego profesora udało mi się zmodyfikować stworzony już projekt, tak żeby podchodził pod ramy regulacji i standardów dotyczących nasłonecznienia w tym rejonie.

W trakcie tego projektu miałem również okazję wyjechać do Manchesteru na spotkanie stowarzyszenia studentów architektury w Wielkiej Brytanii. Wyjazd był dla mnie szczególnie ciekawy z powodu programu Mentorship, w który byłem dalej zaangażowany. Licealiści, którzy konsultowali ze mną swoje wybory mieli wiele pytań dotyczących Uniwersytetu w Manchesterze, ponieważ szkoła mogła się poszczycić wieloma znanymi absolwentami, oraz tym że znajdowała się w jednym z największych miast. Z tego powodu rozmowy ze spotkanymi tam studentami zapowiadały się wyjątkowo interesująco.

Zainteresowanie szkołą, jakie przywozłem ze sobą, pomogło mi nawiązać kontakt ze studentami organizującymi tę konferencję i miałem szczęście zostać zaproszonym na wspólny wyjazd do Londynu na spotkanie z Królewskim Stowarzyszeniem Architektów odpowiedzialnym

za nadawanie tytułu oraz prowadzenie egzaminów architektów w Brytanii. W czasie rozmów z obecnymi tam architektami dowiedziałem się, że choć szkoły przygotowują nas doskonale do samego projektowania architektury, po jej skończeniu, będziemy musieli nabyć wiele nowych umiejętności, jak na przykład poprawne prowadzenie dokumentacji projektów. Te, oraz kolejne rozmowy okazały się bardzo cenne podczas późniejszych konsultacji z naszymi profesorami, którzy oczekiwali od nas dojrzałego podejścia do studiowania architektury.

Na trzecim semestrze przedstawiono nam projekt organizowany w barcelońskiej szkole IAAC zajmującej się projektowaniem komputerowym, który do pewnego stopnia przypominał mi ten ze Stuttgartu. Nie spodziewanym ryzykiem projektu było wymagane przetransportowanie naszego projektu z Barcelony do Cardiff, co oznaczało, że musieliśmy upewnić się, że nasze bagaże nie zawierały żadnych przedmiotów niezgodnych z regulaminem lotniska. Na wszelki wypadek podczas podróży otrzymaliśmy od naszych profesorów dokumenty potwierdzające, że braлиśmy udział w projekcie pod nadzorem uniwersytetu. Szczęśliwie udało nam się przejść przez kontrolę bagażową bez większych trudności i po powrocie do Cardiff wszystkie grupy pracujące nad projektami zorganizowały wystawę w ramach tegorocznego Walijskiego Festiwalu Architektury. Pomimo krótkiego czasu, zaledwie trzy tygodnie, wiele grup przygotowało niesamowite prezentacje, co przyciągnęło do naszej szkoły wielu gości. Szczególnym zainteresowaniem cieszyła się grupa pracująca nad projektem w Kambodży, ponieważ w odróżnieniu od innych prezentacji, ich praca była wyjątkowo skupiona na kontakcie z mieszkańcami i wykorzystywanie lokalnych materiałów przy konstrukcji.

Dużym wydarzeniem w naszej szkole, w trakcie drugiego semestru, był wykład profesora Jonathana Adamsa, który pracował jako projektant największych budynków kulturowych w Cardiff. W trakcie wykładu opowiedział nam o swojej historii i ponieważ swój dyplom odbierał na naszym uniwersytecie, był z tym miejscem wyjątkowo związany. Po wykładzie miałem okazję porozmawiać z nim na temat jego poglądów na architekturę oraz porad w sprawie zbierania doświadczenia w zawodzie. Zainteresowany moim pytaniem zaproponował mi pracę w firmie, w której obecnie pracuje jako projektant. W odpowiedzi wyraziłem swoje głębokie zainteresowanie, wiedząc, że jest to jedna z największych firm architektonicznych w okolicy. Po przyjeździe na interview miałem okazję

porozmawiać z managerem firmy, który zachęcił mnie do podpisania kontraktu na całe wakacje. Uznałem, że może to być doskonała okazja na poznanie architektury z nowej strony.

Zdobyte doświadczenia upewniły mnie w przekonaniu, że architektura jest kierunkiem, w którym mogę spełniać moje rozwijane już od najmłodszych lat talenty i pasje. Nie byłem w stanie do tej pory sobie wyobrazić jak bardzo kreatywność może znaleźć zastosowanie w praktycznym zawodzie i cieszy mnie fakt, że prawdopodobnie dopiero zacznę odkrywanie jej możliwości. Choć musiałem opuścić moje rodzime miasto, jestem przekonany, że w ten sposób zyskałem więcej możliwości realizowania moich projektów i dzięki temu wyborowi nie będą związane szerokościami, ani długościami geograficznymi. Rozmowy, które dano mi przeprowadzić z wieloma uczniami, profesorami i praktykującymi architektami pomogły mi rozwinąć mój własny pogląd na świat i dalej jestem przekonany, że mam wciąż wiele do odkrycia. Miejsca, które zwiedziłem, w których pracowałem, będą mi służyły w przyszłości jako inspiracja do budowli, których miejsca, ani rozmiaru nie jestem w stanie sobie jeszcze wyobrazić. Wstępując teraz w trzeci rok mojej edukacji jestem niejednokrotnie ostrzegany o wyzwaniu jaki on przede mną stawia, czy to na wymaganą samodzielność czy na wymagania profesorów. Przede wszystkim będzie to bardzo ważny rok studiów i wygrana lub przegrana, wpłynie na całą moją przyszłą karierę.

Choć wiele sytuacji zostawiło mnie wątpliwego w słuszność podjętych decyzji, nie było jeszcze takiej rzeczy, która dałaby mi powód do zaprzestania ciężkiej pracy i dążenia do sukcesu w świecie architektury. Wracając myślami do szlachetnej wyobraźni, która towarzyszyła mi już od najmłodszych lat, jestem przekonany, że nie mógłbym znaleźć kierunku, który pozwoliłby mi pozostać jej wierniejszy. Wszystkie doświadczenia, które zebrałem w drodze na Uniwersytet w Cardiff pozwoliły mi być pełniejszą osobą i zarówno z entuzjazmem, jak i determinacją budować moje marzenia.

Miejsce utkane z życia: Gdańsk

Wrzesień, 2013

Rozpoczyna się rok maturalny, przy każdej możliwej okazji przypominają nam o nadchodzących egzaminach, temat matury jest tak wszechobecny, że już samo nawiązanie do majowych wydarzeń sprawia, że wszyscy się stresujemy. A ja jeszcze bardziej! Temat studiów za granicą nie daje spać spokojnie, codziennie zadaję sobie pytanie: „Jak ja to osiągnę?”. Ale chwileczkę, co mam osiągnąć? Cofnijmy się na sekundkę cztery lata wstecz, bo to wtedy do głowy przyszedł mi pomysł studiowania za granicą, a dokładnie w Hiszpanii, tym właśnie kierowałam się przy wyborze profilu licealnego i przez trzy lata konsekwentnie i powolutku dążyłam do tego, żeby przygotować się do wyjazdu, głównie pod względem językowym. Ta decyzja była postrzegana bardzo sceptycznie przez moich bliskich. „Za trzy lata jej się odmieni”, „Kiedyś chciała być weterynarzem”, „Do Hiszpanii? U nas też przecież można studiować”. Ja jednak byłam tak pewna tego wyjazdu jak nigdy dotąd niczego. Zdecydowana, zawzięta, zdeterminowana to cechy, które wcześniej nie były mi przypisywane, bo uchodziłam raczej za osobę ze słomianym zapałem. I tak właśnie dotarłam do ostatniego roku w liceum, gdzie musiałam już podjąć konkretne działania w stronę wymarzonych studiów. Ten rok był bardzo intensywny, przygotowania do matury, usiłowanie nawiązania kontaktu z uczelnią docelową, planowanie, wyliczanie... No właśnie, z wyliczaniem był największy problem, Hiszpania to kraj, w którym edukacja słono kosztuje, a ja nie spałam na pieniądzach. Zaczęłam więc drążyć temat stypendiów, przypominałam sobie o wizycie absolwentki naszego liceum, która opowiadała o Stypendium Fahrenheita, co wtedy było dla mnie czymś tak

nieosiągalnym, że nawet przez chwilę nie pomyślałabym, żeby skorzystać z tej pomocy, myślałam wtedy, że to nagroda przeznaczona dla naprawdę utalentowanych i zdolnych ludzi. Na tamtą chwilę nie miałam żadnej innej alternatywy, więc zestresowana weszłam na stronę Miasta Gdańska żeby zapoznać się z kryteriami stypendium. Wraz z kontynuowaniem czytania mój stres i strach mijał, zaczęłam zdawać sobie sprawę, że może i ja pasuję do profilu stypendystki, nagle okazało się, że liczne konkursy z dziedziny językowej, w których brałam udział dla samego sprawdzenia swoich umiejętności, stały się atutem i argumentem dla otrzymania stypendium, do tego niezłe oceny, super!, pomyślałam.

Czerwiec, 2014

Już po maturach! Cały stres minął, możemy się zrelaksować, przed nami przecież najdłuższe wakacje! Biiiiiip!!! Zapomnij Pati, nie dla Ciebie! Tydzień po ostatnim egzaminie ustnym wybieram się do Barcelony na wstępne testy na wymarzony kierunek, Translatoryka i Interpretacja z językiem angielskim, hiszpańskim, francuskim i katalońskim. To właśnie z tego pierwszego musiałam przejść małą próbę umiejętności, żeby dopiero potem móc startować do rekrutacji. Tyle ciekawych, językowych kierunków bez żadnych wstępnych egzaminów, ale ja zawsze komplikuję sobie życie, tak więc jadę!

Egzaminy napisane, teraz tylko czekać na wyniki. Kilka dni po powrocie do Polski, dostaję wiadomość, zdałam!! Radość, euforia i trochę paniki, kolejny krok w drodze na wymarzone studia odhaczony! Pomimo zdanych egzaminów i przebytej matury, nadal nie wierzę, że mogłoby mi się udać. W moim przekonaniu, jest to tak surrealistyczne, niemalże niemożliwe, tyle jeszcze rzeczy zostało do załatwienia... Na tamtą chwilę największym przeciwnikiem były formalności i czas, w którym musiały zostać załatwione, często komplikowało to moje działania.

Lipiec, 2014

Powrót do Hiszpanii, tym razem w ramach letniej pracy, która miała być alternatywnym wyjściem w razie nieprzyznania stypendium (byłam przygotowana na wszystkie ewentualności). W trakcie załatwianie niekończących się formalności, tłumaczenie świadectw, korespondencja z uczelnią, składanie potrzebnych dokumentów i wiele innych. Powoli wszystko zaczyna się klarować, wszystkie potrzebne dokumenty zostały

przetłumaczone, podpisane, zaniesione, przypieczętowane, wysłane, odebrane, zaakceptowane... aż dziwne, że jeszcze po drodze się nie pogubiły! Teraz pozostało mi czekać na wyniki, mało przyjemna część. Po paru stresujących dniach, ogłoszenie wyników, przy samym logowaniu się na odpowiedni portal przez moją głowę przeszły wszystkie możliwe myśli i scenariusze, strona się ładuje i ładuje i... znowu się udało! Dostałam się na wymarzone, wyśnzione, najlepsze, idealne studia, właśnie takie, jakie chciałam, czy mogłam prosić o więcej? Ten stresujący rok, wszystkie egzaminy, cały trud, żeby dojść do punktu, w którym się znajdowałam nagle wydał mi się przyjemny, nie straszny, a przede wszystkim warty swojej ceny, bo właśnie spełniałam swoje marzenie.

Euforia nadal nie mija, ale pojawia się coraz więcej pytań natury ekonomicznej, stypendium cały czas stoi pod znakiem zapytania, i tak też będzie aż do końca wakacji. Ale skoro wszystko idzie po mojej myśli, jestem pozytywnie nastawiona i zaczynam przygotowywać formalności do stypendium.

Wrzesień, 2014

Czyli to już rok od kiedy zaczęłam? Czas mija jak szalony, rok temu o tej porze nie miałam jeszcze pojęcia, jak będzie wyglądało moje życie, a teraz znowu jestem w Polsce czekając niecierpliwie na wyniki przyznania stypendium, a w mojej głowie, jak zawsze przewijają się wszystkie możliwe scenariusze tego, co się wydarzy. Wiadomość o przyznaniu nagrody odbiera moja siostra, której mina pozwala mi myśleć, że mam wyjątkowe szczęście. Spokojnie, oddychaj, na pewno to mi przyznali stypendium? A jak się pomylili? Gubię gdzieś bezsensowne myśli i znowu czuję się najszcześliwsza na świecie widząc jak łzy pękającej z dumy mamy właśnie wpadają do przygotowywanej przez nią sałatki.

Mijają dni, a mi naprawdę wciąż ciężko uwierzyć w to wszystko, co się dzieje. Parę dni przed wyjazdem uczucia są mieszane, radość z tego co mnie czeka połączona ze smutkiem spowodowanym tym samym motywem. W końcu nadszedł dzień wyjazdu. Do Hiszpanii wybieram się już we wrześniu, aby zacząć intensywny kurs języka francuskiego. Po przyjeździe nowo poznane osoby pytają mnie czy jestem z Meksyku, czy też może urodziłam się w Hiszpanii, te pytania wprawiają mnie w osłupienie, tak samo jak ich moja znajomość hiszpańskiego. Tłumaczę, że byłam w klasie o takim właśnie profilu językowym, i to temu zawdzięczam

opanowanie hiszpańskiego. Nowi koledzy nie mogą wyjść z podziwu dla polskiej edukacji, komentują, że nasze szkoły na pewno mają wysoki poziom nauczania, nie wyprowadzam ich z błędu, bo mają rację!

Październik-Grudzień, 2014

Zaczynam pierwszy trymestr. Nie wspominałam jeszcze, że moja uczelnia jest jedyną w kraju z takim podziałem roku akademickiego? Wszystkie wyobrażenia o studiowaniu za granicą prysły jak bańka mydlana, nic właściwie nie było tak jak myślałam. Ten pamiętnik nie ma być o tym, jak to wszystko mi wychodzi bez trudu, warto wspomnieć, że początki tej nowej przygody przeszłam dość ciężko i w mało pogodnym nastroju. Nigdy wcześniej nie podejrzewałam, że tak zareaguję na wyjazd z daleka od domu. Wszystko nowe, uczelnia, język, kraj, jedzenie, ludzie, zasady, inne pory posiłków, inny klimat, inaczej skonstruowane domy, dziwne pokoje bez okien i niesmaczna woda z kranu, to wszystko nic w porównaniu z brakiem rodziny i przyjaciół, który dokuczał niesamowicie. Nagle wszystko to, co podobało mi się wcześniej w Hiszpanii zostało w parę chwil znienawidzone.

Pamiętam pierwszy powrót do domu. Podróże samolotem plasują się raczej na jednej z ostatnich pozycji na mojej liście rzeczy przyjemnych. Ale tym razem było inaczej, z biegu zajęłam miejsce przy oknie, żeby obserwować wszystko z góry. „Patrzę na moje miasto, kocham je”, dokładnie pamiętam, że miałam w głowie tę piosenkę obserwując przepiękny, nocny Gdańsk. Pomyślałam wtedy jak wiele mu zawdzięczam, ile szczęśliwych lat i przede wszystkim szansę, którą dostałam od swojego miasta na naukę za granicą, spełnione największe marzenie. Dostałam wtedy zastrzyk energii i motywacji do dalszej pracy, nauki i realizacji kolejnych marzeń o zostaniu tłumaczem. To będzie moja forma podziękowania dla mojego miasta za to, co dostałam, godne reprezentowanie go za granicą i wykorzystanie wszystkich możliwości, jakie mi dano. Uśmiechnęłam się sama do siebie i już miałam w głowie plan nauki po powrocie z Polski. A tymczasem korzystałam z wolnych dni ciesząc się pobytom w domu, wtedy nawet jesienny deszcz był najpiękniejszy. Odwiedziłam ukochane miejsca, Pachołek, Starówkę, Górę Gradową. Byłam dumna z mojego pięknego, starego miasta, chciałam, żeby moi hiszpańscy znajomi poznali trochę jego niesamowitej historii. Zdecydowanie jest ona warta uwagi!

Wracam i zabieram się do pracy, chyba do końca życia będę pamiętać pierwszą pracę, którą musiałam napisać, już sam moment jej oddawania był stresujący. Ta niepewność wynikała z mojej niewiedzy na temat systemu sprawdzania, wymaganych kryteriów, nie wiedziałam też czy mój poziom hiszpańskiego jest na tyle dobry, żeby pisać prace akademickie. Praca polegała na analizie komunikacji w grupie społecznej, której nie jesteśmy częścią i która jest dla nas nowa. Wybrałam pobliskie Centrum Kultury Islamu połączone z meczetem. Pomysł zainteresował wykładowców i wraz z pierwszym zadaniem, pierwszy sukces! Wszyscy wiemy, że kiedy coś nam wychodzi, mamy chęci i motywacje do dalszej pracy! Ja nie byłam wyjątkiem, pierwsza ocena zmotywowała mnie do pracy, uspokoiła wcześniejsze obawy i co tu dużo mówić, w końcu się „rozkrećłam”. Specyfika mojej uczelni nie pozwalała na wiele czasu wolnego, ale ja byłam bardzo zadowolona, natłok pracy sprawiał, że tęsknota za domem nie była już taka uciążliwa, moje myśli były zajęte nauką a dopingujący mnie bliscy dodawali skrzydeł i jeszcze więcej motywacji, skończyło się na tym, że biblioteka stała się moim drugim domem. Jest to jedna z różnic między Polską a Hiszpanią, tutaj uczniowie nie chodzili do domu, żeby się uczyć, wszyscy zostawali w przyjaznej i dostosowanej do nauki bibliotece, co dawało lepsze efekty, pozwalało na skupienie i lepiej wykorzystany czas.

Fiesta, siesta i mañana, w naszym kraju te słowa wydawałyby się określać charakter Hiszpanów, mało pracowitych, lubiących popołudniowe drzemki i weekendowe szaleństwa. Nic bardziej mylnego, przynajmniej nie na mojej uczelni, tutaj wszyscy bardzo ciężko pracowali, żeby osiągnąć wyniki w nauce, zarazili mnie swoim systemem pracy, czyli podstawa teorii na zajęciach i dużo wysiłku włożonego w rozwój poza godzinami lekcyjnymi, każdy we własnym zakresie. „Dziecko wyjdź z tej biblioteki i jedź już do domu” mówiła roześmiana i chyba trochę zmartwiono-zadziwiona mama o 22, kiedy już zamykali. I tak cały trymestr, który zakończyliśmy wernisażem na temat znanych lingwistów. W mojej grupie padł pomysł zaprezentowania twórczości Zamenhofa. Okazało się, że nikt nie miał pojęcia o osiągnięciach polskiego lingwisty, z dumą więc stworzyliśmy plakat i zaprezentowaliśmy jego życie i dokonania. Było dla mnie bardzo ważne, żeby wykorzystywać takie okazje na promowanie historii mojego kraju i sylwetek Polaków, którzy niejako zmienili bieg historii. Po wszystkim postanowiłam zabrać ze sobą plakat to Polski,

aby podarować go mojej dawnej szkole, bardzo się cieszyłam, że stworzony przez moją grupę projekt będzie mógł posłużyć innym uczniom.

Już byliśmy na półmetku, zbliżały się egzaminy końcowe. Pierwsza sesja, trzy egzaminy pod rząd i taka sama liczba nieprzespanych nocy. Wszystko minęło bardzo szybko, a ja z powrotem byłam w Polsce, wyczekiwane przeze mnie Święta i trochę odpoczynku w końcu nadeszły, a ja każdego dnia niecierpliwie czekałam na wyniki egzaminów. Pierwsza sesja, pierwsze wyniki i ? Aż trudno uwierzyć, ale i tym razem sukces. W takich właśnie momentach nie żałuję ani minuty spędzonej w moim świecie zbudowanym z książek. Byłam bardzo zadowolona, że ten trud przyniósł efekty. W drugim semestrze wróciłam z podwójną siłą, chciałam jeszcze raz zobaczyć dumę w oczach mamy, uznanie w głosie zazwyczaj niewzruszonego dziadka, zaskoczona babcie i wcale nie dziwiącą się moimi wynikami siostrę, która chyba nigdy we mnie nie zwątpiła. Ale przede wszystkim robiłam to dla siebie, bo to dawało mi ogromną satysfakcję. Można pomyśleć, że wyolbrzymiam i przesadzam, co najmniej jakbym dostała nagrodę Nobla, ale powolutku, każdy mały sukces jest warty uwagi i świętowania, przynajmniej ja miałam zamiar tak traktować moje studia.

Korzystając z wizyty w Polsce, odwiedziłam byłą szkołę, opowiedziałam jednej z klas o moim wyborze i doświadczeniach z nim związanych, chciałam podzielić się informacją na temat stypendium, bo ja też przecież dowiedziałam się o nim dzięki wizycie innej absolwentki. Kiedyś życzyłabym sobie, żeby ktoś z Gdańska powiedział mi, że zaraziłam go tym pomysłem, może kiedyś tak będzie!

Styczeń-Marzec, 2015

Nowy rok, nowy trymestr, nowe wyzwania. A moje postanowienia to: zdanie wiosennych egzaminów, dostanie się na wymarzoną uczelnię we Francji (obowiązkowa wymiana uczniowska, która czeka mnie w przyszłym roku) i wzięcie udziału w moich pierwszych Dniach Nauki, czas podzielić się z gdańszczanami tym, czego się nauczyłam, byłam bardzo podekscytowana! Jeżeli komuś przeszło przez myśl, że poprzedni trymestr mógł być ciężki, to nie widział mojej miny tym razem! Nie narzekam! Dużo pracy wiąże się z dobrymi rezultatami, a po natłoku nauki odpoczynek smakuje jeszcze lepiej! W tym trymestrze zaczęłam przygodę z tłumaczeniem, w końcu, pomysłałam! Okazało się, że proces

tłumaczenia jest o wiele bardziej skomplikowany niż mi się wydawało, ale mimo to, bardzo mi się podobało! Mój pierwszy tekst do przetłumaczenia został napisany w języku angielskim przez polską panią profesor z Uniwersytetu Gdańskiego, dlatego zadanie wykonałam z wielkim zapałem, każde napomknięcie o ojczystym kraju, kiedy jest się za granicą jest ekscytujące, przynajmniej dla mnie!

Nauka szła mi coraz lepiej, ale może zadajecie sobie pytanie, co z tęsknotą? Spędzanie czasu w bibliotece, robienie rzeczy, które mnie interesują, zajmowały moje myśli, ale miałam też inne życie niż to związane z uczelnią! Ogrom wspaniałych ludzi, których poznałam, pewna Urugwajka i Marokanka sprawiły, że 3000 km z dala od domu czułam się swobodnie i szczęśliwie. Niesamowite doświadczenie poznać tylu ludzi z tak różnych krajów, w życiu nie nauczyłam się tylu rzeczy, ile przez te parę miesięcy spędzonych na mojej wielokulturowej uczelni.

Czemu opis tego trymestru jest krótszy? Mniej się działo w moim życiu? Nie! Po prostu zaaklimatyzowałam się, rozumiałam już system panujący na uczelni, poznałam wykładowców, mniej rzeczy mnie zaskakiwało, wszystko wydawało się łatwiejsze i normalniejsze. Czas znowu zleciał szybko, zanim się obejrzałam, już była końcówka marca i wiosenne egzaminy za pasem. Tym razem przede mną cztery próby umiejętności i wiedzy, jakoś to będzie, pocieszałam się. I rzeczywiście, nie jakoś, a nawet bardzo dobrze, wszystkie egzaminy zdane! A ja wciąż zastanawiam się czy to towarzyszące mi szczęście kiedyś się skończy? Z błędu wyprowadza mnie mama „to nie szczęście, tylko ciężka praca zapewnia rezultaty”. Przypominam sobie o godzinach w bibliotece i myślę w duchu, że ma rację! Co prawda egzaminy już za mną, ale teraz czeka mnie kolejne wyzwanie, niemniej ważne, do którego podchodzę bardzo osobiście. Dni Nauki się zbliżają, a ja przygotowuję moją prezentację na temat „Jak porozumieć się w świecie 6500 języków?” I już nie mogę się doczekać, kiedy przedstawię ją innym.

W dzień prezentacji jestem troszkę zdenerwowana, ale po wszystkim czuję się bardzo dobrze! Mam nadzieję, że mój wykład był ciekawy i zainteresował innych. Jestem zdecydowana na udział w kolejnych Dniach Nauki, myślę, że to fajny pomysł, żeby stypendyści zaprezentowali swoje zainteresowania i umiejętności innym gdańszczanom. Super okazja do promocji nauki!

Kwiecień-Czerwiec, 2015

Koniec odpoczynku, wracam na uczelnię! Obiecywali, że ostatni trymestr będzie najłatwiejszy ze wszystkich, na razie dotrzymują słowa! Lżejszy w hiszpańskim wydaniu znaczy po prostu normalny, ludzki trymestr, bez nocnych maratonów w bibliotece! Tym razem tłumaczymy z angielskiego na kataloński, trochę się martwię, bo tego drugiego języka ja i paru innych obcokrajowców uczymy się dopiero od paru miesięcy, ale mówią, że damy radę więc na razie trzymamy kciuki, żeby mieli rację. To już mój ostatni wpis, bo właśnie dotarliśmy do aktualności, już się nie cofam. Siedzę właśnie przy pięknej pogodzie i piszę mój pamiętnik starannie odtwarzając wszystko, co wydarzyło się przez te dwa lata, nie chciałam, żeby coś mi umknęło. Tak więc piszę, i w duchu proszę, żebym przy następnej okazji mogła z dumą powiedzieć, że znowu miałam szczęście i zdałam końcowe egzaminy, które rozpoczynają się już za 10 dni. Na dzień dzisiejszy to jest mój cel, ukończyć pierwszy rok studiów. Moja przygoda i doświadczenie związane ze studiowaniem za granicą nie są najdłuższe, przede mną jeszcze wiele lat nauki, przygód i nowych wyzwań. Jedyne, co mogę obiecać to, że to jeszcze nie koniec mojej historii. Na razie to jest ścieżka, którą obrałam, a co będzie potem? Jakie są moje plany na przyszłość? Godnie reprezentować moje miasto i kraj, sprawić, żeby kojarzyło się ze wszystkim, co najlepsze. Gdańsk, moje miasto bez granic. Moje miasto? Na 100% i na zawsze! Bez granic? Dla tego miasta piszę do Was z Hiszpanii, i napisałabym z każdego innego miejsca na świecie, tutaj nie ma mowy o limitach!

Rok 2020

Przy 20-leciu Stypendium Fahrenheita opowiem Wam, jak to się stało, że zostałam tłumaczem w ONZ i gdańskim ambasadorem na świecie, bo to mój kolejny cel, do którego zaczęłam dążyć już 5 lat temu, jak na razie mi wychodzi! Do zobaczenia!

O Gdańsku, czyli o ludziach, dla których nie ma granic

– Proszę pani, puls dziecka jest nierówny. Proszę się nie denerwować, podamy pani kokarboksyłazę. Tutaj obok szpitala jest park, pospaceruje pani godzinę i następnie wróci do mnie, aby ponownie wykonać badanie.

– Pani doktor, czy to coś poważnego?

– Czasami dziecko się tak ułoży, że na coś uciska. Zobaczmy jaka będzie reakcja na podany lek. Spokojnie, proszę się zrelaksować, mamy piękną wiosenną pogodę, a za godzinę widzimy się ponownie.

7 maja 1993 rok, słoneczny majowy dzień. Chyba właśnie tutaj zaczyna się historia dziewczynki, która pokonuje pierwszą w swoim życiu granicę.

– Niestety puls nadal jest bardzo nierównomierny. Skieruję panią do szpitala, tam wykonają kompleksowe badania i zdecydują o dalszym postępowaniu.

Karetką na sygnale. Kolejne KTG, puls nadal niestabilny. USG. Lekarz nie stwierdza żadnych nieprawidłowości. Znow KTG, puls nadal bez zmian. Ordynator oddziału położniczego w Szpitalu Klinicznym w Gdańsku decyduje o przeprowadzeniu cesarskiego cięcia. Doktor Wydra jest pierwszym napotkanym człowiekiem, który podaje swoją pomocną dłoń i pokazuje dziewczynce nowy świat. Jeszcze wtedy nie spodziewała się jak wielu wspaniałych ludzi spotka na swojej drodze, którzy nie raz wskażą jej drogę i pomogą w podejmowaniu życiowych decyzji. Mimo owiniętej wokół szyi pępowiny, która była sprawcą nieprawidłowego tętna, Magdalena Barbara, gdyż tak nazwali ją rodzice, rodzi się zdrowa i otrzymuje 9 punktów w skali Apgar. Dzięki rodzicom i atmosferze panującej w domu otaczający świat staje się dla małej Madzi niesamowitą zagadką i zaczerpniętą krainą, którą pragnie coraz to bardziej i bardziej zgłębiać. Jak

każde dziecko jest ciekawa nowych rzeczy. Czymś szczególnym, co może ją wyróżniać od innych dzieci jest fakt, że od samego początku, przez całe dzieciństwo była otoczona szpitalem. O nie! Wcale nie dlatego, że często chorowała. Również nie dlatego, że była tak genialnym dzieckiem, by już w tym wieku myśleć o medycynie. To przez, a może dzięki rodzicom, którzy pracują w szpitalu, była z tym miejscem bardzo oswojona. Możliwe, że bardziej niż inne dzieci. Strzykawka, stetoskop, lateksowe rękawiczki, biały fartuch były dla niej atrybutem zabawy. Zapewne myślą sobie Państwo teraz, ach tak! Dlatego w przyszłości zapewne zechce zostać lekarzem! Rodzice od małego zaszczepili w niej zainteresowanie tą dziedziną nauki. Niestety muszę Państwa rozczarować. Pięcioletnia Magda była za mała, by zrozumieć cokolwiek, o czym rozmawiają rodzice. Cokolwiek, co dotyczyło ich pracy i medycyny. Chociaż nie chciała być księżniczką ani piosenkarką, jak większość dziewczynek w jej wieku, w głowie tej małej dziewczynki nawet jedna myśl nie przeszła, by swoją przyszłość wiązać z pracą w szpitalu. Bardzo kochała zwierzęta i to właśnie z nimi chciała spędzać jak najwięcej czasu. Nie wiedziała kim chce być w przyszłości, ale jednego była pewna, musi być otoczona zwierzętami.

7 rano. Budzik. Pierwszy szkolny budzik! Magda otwiera zaspane oczy. Wcale tak chętnie nie biegnie na pierwszą lekcję. Szkoła Podstawowa nr 20 w Gdańsku Brzeźnie. Zerówka. Zaczyna się dla niej przygoda zwana edukacją. Już tutaj, na samym początku tej długiej drogi spotyka wspaniałą nauczycielkę, pełnego poświęcenia pedagoga, który wkłada wszystkie siły i chęci, by jak najlepiej wprowadzić zerówkowiczów w świat szkoły i nauki. Pani Grażyna Młynarska, wychowawczyni klasy 03, do której uczęszczała, poprzez organizację wielu przedstawień teatralnych i różnorodną aktywizację uczniów, a także poprzez swoją życzliwość, cierpliwość i dobroć ociepliła Magdzie wizerunek szkoły i sprawiła, że dziewczynka chętnie do niej chodziła. Magda wyróżniała się bardzo dobrą pamięcią. Pewnego wieczoru, gdy nie mogła zasnąć, usiadła na łóżku rodziców i zaczęła recytować wszystkie role uczestników przedstawienia „Jaś i Małgosia”, w którym sama grała Małgosię i również jej kwestie zajmowały dwie kartki A4.

Magda wraz z kolejnymi latami nauki coraz bardziej angażowała się w życie klasy i szkoły. Chętnie uczestniczyła w konkursach i przedstawieniach teatralnych, lecz życie tej dziewczynki nie obracało się tylko

wokół szkoły. Hobby Magdy było pływanie, które doskonaliła na basenie Start w Gdańsku. Często po nauce pływania mama zabierała ją na zakupy do Gdańska Głównego. Mama Madzi, miłośniczka bursztynu, nie mogła ominąć najbardziej znanej z przepięknej bursztynowej biżuterii ulicy w Gdańsku. Tak, dobrze Państwo myślą! Ulica Mariacka była starym punktem spaceru po starym mieście. Choć córka nie była tak bardzo zainteresowana ozdobami jak jej mama, to zawsze zachwycał ją urok tej małej uliczki. Stare i piękne kamienice sprawiały, że było to magiczne i urokliwe miejsce, gdzie Magda zawsze chętnie wracała. Nie wiedziała jeszcze, że jest kilka podobnych miejsc na świecie, a już na pewno nie myślała, że w przyszłości w jednym z takich podobnych miejsc, lecz oddalonych od jej domu rodzinnego, będzie studiowała. Pierwsza wiadomość już wkrótce się wyjaśniła, gdy w maju 2005 roku Magda współuczestniczyła w organizacji „II Europejskiego Dnia Hanz”. Podczas tych przygotowań dowiedziała się, że Gdańsk jest starym miastem hanzeatyckim, dowiedziała się, czym była Liga Hanzeatycka, a także, że podobne miasta istnieją także w innych państwach. Za swój wkład pracy i zaangażowanie Magdalena otrzymała dyplom z podziękowaniami od Prezydenta Miasta Gdańska Pawła Adamowicza. Była bardzo dumna, gdyż był to jej pierwszy dyplom od prezydenta. Postanowiła sobie, że choć jedno miasto hanzeatyckie chciałaby w przyszłości zwiedzić, choć nigdy nie planowała, by w którymś z nich zamieszkać...

Im dalej w las, tym więcej drzew. Tak samo było z nauką. Coraz więcej materiału, ale również dochodziły nowe przedmioty, nowa wiedza, nowe umiejętności. Magda uwielbiała przyrodę.

– Tato, zaczęliśmy nowy temat, o człowieku. Wiesz, że człowiek składa się z 206 kości?! Za dwa tygodnie mam z tego klasówkę.

– O! A wiesz, że ja znam taki wierszyk, jak łatwo nauczyć się kości nadgarstka? Łódka płynie, księżyc świeci, trójgromy groszek leci. To są kości: łódeczkowata, księżycowata, trójgromy, grochowata.

Wierszyk zna do dzisiaj, choć oczywiście na tej klasówce z przyrody jeszcze jej się nie przydał.

W szóstej klasie szkoły podstawowej do grona pedagogicznego dołączyła nowa nauczycielka przyrody pani doktor Justyna Kopecka, która jeszcze bardziej rozbudziła w Magdzie pasję do nauk przyrodniczych. Na każde zajęcia, by jeszcze bardziej pomóc uczniom w zrozumieniu przeróżnych procesów, przynosiła gadżety i tak np.: na jedne zajęcia

przyniosła pryzmat, by pokazać jak powstaje tęcza, na inne dezodorant, by uświadomić uczniom w jakim tempie rozprzestrzeniają się cząsteczki gazu. Zawsze czymś zaskoczyła swoich podopiecznych i mogłoby się wydawać, że to proste rzeczy, ale dla szóstoklasistów, a już na pewno dla Magdy była świątynią wiedzy. Pewnego dnia, na prośbę uczniów przyniosła swoją pracę doktorską, Magda nie mogła uwierzyć, że tak grubą książkę można napisać samemu, ale postanowiła sobie, że zrobi wszystko, aby w przyszłości też być w stanie to osiągnąć. Na zakończenie szkoły podstawowej Magda otrzymała Stypendium Prezydenta Miasta Gdańska. Duma znowu rozpiera jej serce. Nagrodę wręcza sam Pan Prezydent Paweł Adamowicz. Gdy przychodzi jej kolej podchodzi, a wysoki mężczyzna z uśmiechem na twarzy, gratulacjami oraz stwierdzeniem „bardzo lubię imię Magdalena, tak nazywa się moja żona” wręcza jej dyplom za zasługi i naukę. To stwierdzenie z ust tego pana na szczęście jeszcze nie raz usłyszy.

Przy wyborze gimnazjum dziewczynce pomagali rodzice, którzy zawsze ją wspierali i byli dumni z jej osiągnięć. Oni najlepiej wiedzieli, że zdobyte nagrody, czerwone paski i dyplomy, to nie przypadek, ale ciężka praca i poświęcanie wolnego czasu. Nigdy jej do niczego nie zmuszali, zawsze mówili, że czegokolwiek się uczy ma to robić dla siebie, by potem w życiu było jej łatwiej. Nigdy nie ganili, gdy coś nie wyszło, zawsze byli podporą i ostoją, pozytywnie motywowali. Również w tym przypadku Magda z rodzicami postawiła na jedno z najlepszych gimnazjów w Gdańsku. Gimnazjum nr 18 im. Jana Pawła II, klasa z rozszerzonym programem nauczania. Nowi ludzie, nowe środowisko oraz nowi nauczyciele. Już w pierwszym tygodniu nauki po klasach chodziła pani wicedyrektor i opowiadała o przedmiotowych konkursach wojewódzkich, które umożliwiają zwolnienie z pisania testu gimnazjalnego. „O jak bym chciała zostać laureatką, ale niestety to raczej nie jest możliwe. W podstawówce nie było tak ciężko, mogłam być najlepszą uczennicą, ale to gimnazjum. Tu zaczyna się już prawdziwa nauka. Będę nadal uczyć się najlepiej jak się da, ale mam więcej przedmiotów, wysoki poziom nauki...” – roilo się w głowi Magdy. Nie poddawała się. Nie mogła. Tu również natrafiła na wspaniałych nauczycieli, którzy pomogli rozwijać jej pasję i zainteresowania. Wychowawczyni i jednocześnie nauczycielka języka polskiego, pani Barbara Giżewska prowadziła koło teatralne, na które Magda bardzo chętnie uczęszczała. Wraz z zespołem „Takie Trio” uczestniczyła

w konkursach i spotkaniach teatralnych, m.in.: w „V Spotkaniu Teatralnym w rocznicę śmierci Adama Mickiewicza”.

Bardzo ściśle współpracowała także z biblioteką szkolną, wraz z którą organizowała coroczne pasowanie na ucznia dla klas pierwszych Szkoły Podstawowej nr 5. Uczestniczyła także w licznych konkursach z języka niemieckiego, który zaraz po biologii był jej ulubionym przedmiotem. Dobra znajomość tego języka, wyniesiona ze szkoły podstawowej, owocowała w gimnazjum, gdzie w klasie była z niego najlepsza. Magda miała to szczęście, że w szkole podstawowej, do której uczęszczała, były nauczane dwa języki, zarówno język angielski jak i język niemiecki. Ten drugi bardziej przypadł jej do gustu, ale nie wygrał z ukochaną biologią. Pan Paweł Jodczyk, który sam był zachwycony i zadziwiony tym, jak funkcjonuje człowiek i przyroda, jak to wszystko razem ze sobą współgra, jak wiele procesów w nas i wokół nas zachodzi potrafił tę fascynację zaszczerpić w uczniach. Naszą bohaterkę bardzo tym ujął i zachęcił do jeszcze głębszego poznawania człowieka i świata przyrody. Prowadził koło biologiczne, którego Magdalena była stałym bywalcem. Nie były to tylko zajęcia w sali lekcyjnej, ale przede wszystkim spacer w parku, wyjazdy do lasu, do Rezerwatu Beka, gdzie prowadzili wspólnie obserwacje ornitologiczne, obserwacje przyrody. Nauczyciel biologii organizował także spotkania z ludźmi, którzy na co dzień zajmują się ochroną lub obserwacją przyrody. Coś niesamowitego! Tyle przeżyć i wiedzy. Nie suchej, z książek, ale żywej, namacalnej, wiedzy w zasięgu ręki. To dzięki temu nauczycielowi spełniło się jedno z największych marzeń Magdy, jedno z tych, które uważała za niemożliwe do zdobycia, a jednak wspólna praca i wysiłek dały swoje owoce. Magdalena została laureatką Wojewódzkiego Konkursu Przedmiotowego z biologii i została zwolniona z pisania części matematyczno-przyrodniczej testu gimnazjalnego. Ta radość! To uczucie dumy! To szczęście! Tego nie da się opisać. Tym bardziej, że było to okupione wieloma wyrzeczeniami i poświęceniem. Również w tym roku otrzymała Stypendium Prezydenta Miasta Gdańska i również tym razem padło stwierdzenie o imieniu. Magdzie wydawało się to bardzo miłe, gdyż ona sama, co rzadko się zdarza, również bardzo lubiła swoje imię i zawsze dziękowała rodzicom, że tak ją nazwali.

Wybór liceum wiąże się praktycznie z wyborem studiów. Ona o tym wiedziała. Wiedziała też, że z tytułem laureata może dostać się do każdego wybranego i wymarzonego liceum. Jedyne, czego nie wiedziała, to

czym będzie się zajmować w przyszłości. Może medycyna? Tak lubi biologię, jest zafascynowana człowiekiem, a do tego będzie mogła pomagać innym. Przed oczami ma obraz rodziców, zadowolonych, uśmiechniętych po pracy, ale i bardzo zmęczonych. Oni wiedzieli, co to znaczy, wiedzieli, jak wygląda praca w szpitalu.

– Dziecko, wszystko tylko nie medycyna. To nie jest łatwa praca, szczególnie dla kobiety.

– Ale może ja chcę. Może spróbuję. Przecież zawsze mogę zrezygnować.

– Pacjenci i rodziny są coraz bardziej konfliktowi. Praca w szpitalu to nie tylko leczenie. To naprawdę ciężki zawód.

– Ale wy dajecie radę i praca sprawia wam przyjemność.

– My tak, ale ty może wybierz sobie coś lżejszego. Wybór należy do ciebie, we wszystkim będziemy cię wspierać, niezależnie jak postąpisz, to są tylko nasze rady i wskazówki.

Determinizm życiowy, tak samo jak w „Granicy” Zofii Nałkowskiej dopada głównego bohatera, tak i dogoni również Magdę. Chociaż ona nigdy przed nim nie uciekała, chciała być taka jak rodzice. Oni byli dla niej przykładem i najlepszym wzorcem. To oni od tego determinizmu ją odpychali. Próbowali ją chronić, próbowali wyznaczyć ochronną granicę, którą ich córka, tak samo jak Zenon Ziembiewicz, przekroczy. Niełatwa decyzja padła na II Liceum Ogólnokształcące w Gdańsku. Magda idzie do sekretariatu złożyć papiery.

– O laureatka z biologii. To zapewne biol-chem?

Pani sekretarka już sięga po teczkę z dokumentami do klasy biologiczno-chemicznej.

– Nie. Chciałabym iść do klasa bilingwalnej z rozszerzonym językiem niemieckim.

Zapanowała cisza i lekka konsternacja. Czyżby miłość do języka niemieckiego wygrała z miłością do biologii? Już w pierwszym roku nauki Magdalena uczestniczyła w biologicznym konkursie na temat HIV i wykazała się bardzo dużą wiedzą biologiczną. Myśl o studiach medycznych nie dawała jej spokoju i wciąż krążyła w jej głowie. Jednocześnie klasa bilingwalna umożliwiła zdobycie certyfikatu niemieckiego DSD II (Deutsches Sprachdiplom Stufe II), który gwarantował studia za granicą. „A jakby tak te dwie rzeczy połączyć? Dam radę? To tyle pracy. Studia za granicą są bardzo drogie. Jak mam się uczyć rozszerzonej biologii i chemii? A pozostałe przedmioty maturalne? Na nie też potrzebuję czasu.”

Wątpliwości, rozmyślenia, dyskusje z rodzicami, porady siostry i jest, zapadła decyzja. Spróbować. Będzie ciężko, ale może się udać. Nauczycielka biologii, pani Teresa Grygielska, doradziła Magdzie, by postarała się o nauczanie indywidualne z biologii, które ona może z nią chętnie prowadzić. Wniosek do dyrekcji. Badania w poradni psychologiczno-pedagogicznej. Wszystko pozytywnie. Udało się! Magda zaczyna intensywną naukę biologii. Uczęszcza także na koło z chemii, gdzie wraz z panią doktor Małgorzatą Czają rozwiązują zadania maturalne z tego przedmiotu. Zaangażowanie i pomoc nauczycieli oraz dyrekcji były naprawdę ogromne. Nasza bohaterka nigdy nie spodziewała się, że spotka się z taką życzliwością. Sama jednak również wkładała wiele pracy, by osiągnąć postawiony sobie cel. Studia medyczne to decyzja, którą podjęła z pełną świadomością wynikających z tego konsekwencji. Wiedziała, że jest to praca z chorymi ludźmi, którzy nie tylko potrzebują leczenia, ale także zrozumienia, empatii, ciepła i cierpliwości.

Oprócz biologii i chemii Magda nie zapominała także o niemieckim, aby rozwijać swoje umiejętności językowe wzięła udział w wymianie szkolnej z Hanowerem, a także uczestniczyła w projekcie WIWAG (Wirtschaftswochen-Aktiengesellschaft-Tydzień ekonomiczny-spółka akcyjna), który wiązał się z wyjazdem do Lubeki. Do udziału w tym projekcie, widząc jej zaangażowanie i ogromną chęć nauki języka, zgłosił Magdę jej wychowawca pan Bartłomiej Gniecioszek. Jakże się ucieszyła, gdy dowiedziała się, że jedzie do tego miasta. W końcu jest to jedno z miast hanzeatyckich. Jeszcze większa radość spotkała ją podczas wyjazdu do Hanoweru. Grupa niemiecka, jako jedną z atrakcji, zapewniła im wycieczkę do Luneburgu, również małego miasta hanzeatyckiego. Choć tęsknota za domem była duża, to w tych miastach Magda mogła choć trochę poczuć się jak w domu. Urokliwe kamieniczki nad wodą przypominały jej widok przy Motławie, w Luneburgu był także żuraw, co jeszcze bardziej kojarzyło jej się z rodzinnym miastem Gdańsk.

Nieubłaganie, wielkimi krokami zbliżała się matura, wraz z nią myśli naszej bohaterki coraz częściej skupiały się na kosztach studiowania za granicą. Jak złożyć papiery? Gdzie szukać tłumacza? Skąd wziąć pieniądze? O pomoc postanowiła zwrócić się do Centrum HERDERA w Gdańsku. Jest to jednostka pozawydziałowa Uniwersytetu Gdańskiego, której celem jest upowszechnianie kultury i języka niemieckiego. Właśnie tam spotkała człowieka, który przeprowadził ją przez stos dokumentów,

tłumaczeń, logowań się na stronach. Tłumacz przysięgły pan Zbigniew Zembrzuski zawsze chętnie służył jej pomocą i radą, to dzięki niemu bez problemu udało jej się złożyć wszystkie dokumenty w wyznaczonych terminach i w odpowiedniej formie. Pozostał jedynie problem kosztów.

I tym razem spotkała na swojej drodze wspaniałych ludzi, którzy wskazali jej Stypendium Naukowe Prezydenta Miasta Gdańska im. G. D. Fahrenheita. „Stypendium Naukowe Prezydenta Miasta Gdańska? Co to jest? Jakie daje możliwości? Czy ja w ogóle mogę je otrzymać? Czy mam jakieś szanse?” Stypendium Naukowe Prezydenta Miasta Gdańska im. G. D. Fahrenheita było pierwszym w Polsce stypendium, które pokrywało koszty studiowania za granicą. Mogli je otrzymać jedynie najwybitniejsi i najzdolniejsi absolwenci szkół ponadgimnazjalnych. Czy takim uczniem była Magda? Zawsze ciężko pracowała i robiła wszystko, by zapewnić sobie jak najlepszy start w życiu. Swoje pasje i zainteresowania przekładała na jeszcze większy wysiłek i pogłębianie wiedzy.

W ostatnim, maturalnym roku, by jeszcze bardziej zwiększyć swoje szanse na otrzymanie wymarzonego stypendium uczestniczyła w konkursie „Jugend debattiert”(„Młodzież debatuje”) i z sukcesem reprezentowała Gdańsk w półfinałach w Warszawie. W przygotowaniach do dyskusji na niełatwe i często kontrowersyjne tematy pomogła Magdzie nauczycielka języka niemieckiego i jednocześnie twórca klasy bilingwalnej pani Ewa Korgul. Biorąc udział w IV Olimpiadzie Wiedzy o Bezpieczeństwie „Bezpieczne i Przyjazne Pomorze” nasza bohaterka doszła aż do finału. Udział w tych konkursach nie tylko dawał jej satysfakcję z sukcesów, ale również był doskonałym sposobem, by ćwiczyć język i jeszcze lepiej poznawać własny region.

Nadszedł maj 2013. Maturę się nie bała. Stres był. Oczywiście. Ale czuła się dobrze przygotowana. Tyle nauki i wysiłku nie może pójść na marne. Najpierw język polski, potem matematyka, biologia, chemia i biologia po niemiecku. Tak drodzy Państwo. Biologia po niemiecku. Magda miała to ogromne szczęście, że jako uczennica klasy bilingwalnej miała prawo przystąpić do dowolnego przedmiotu, zdając go w języku wiodącym. Bardzo przyjemny egzamin, który łączył w sobie dwie pasje Magdaleny. Choć nie był to jej ostatni test, to z pewnością był to crème de la crème wśród zmagañ maturalnych. Jako ostatni miała język niemiecki oraz egzaminy ustne. A potem już tylko...wakacje! Wakacje? Nie do końca dla osoby, która stara się dostać na zagraniczną uczelnię. Zbieranie dokumentacji,

tłumaczenia, wysyłki, listy, znaczki, częste wizyty w konsulacie oraz u tłumacza. Logowanie się na stronach internetowych, wyszukiwanie informacji, wskazówek, porad. Do tego trzeba mieć dużo samozaparcia, determinacji i cierpliwości. Ale cel coraz bliżej! To motywuje, wzmacnia, pomaga.

Pierwsza informacja pozytywna. *Zulassungsbescheid*, czyli potwierdzenie przyjęcia na Uniwersytet w Rostocku na kierunek medycyna. Czemu Rostock? Wielu z Państwa myśli, no tak miasto hanzeatyckie. Choć nie było to głównym kryterium wyboru, to Magda bardzo się cieszyła, że w oddalonym o setki kilometrów mieście będzie choć trochę mogła poczuć się jak w domu. Lektor języka niemieckiego, nauczycielka Magdy z II Liceum Ogólnokształcącego poleciła ten uniwersytet jako jedną z najlepszych uczelni medycznych w Niemczech. Kto jak kto, ale sami Niemcy chyba wiedzą, co w ich kraju jest najlepsze. Magda zaufała.

Cel jest tak blisko. Niemal na wyciągnięcie ręki. Nadszedł czas na złożenie dokumentów potrzebnych do uzyskania Stypendium Naukowego Prezydenta Miasta Gdańska im. G. D. Fahrenheita. „Pani przyjmująca dokumenty bardzo miła, ale czy to coś da? Czy otrzymam to stypendium?” Stres był ogromny. Walka o marzenia, o swoją przyszłość. Im bliżej ogłoszenia wyników, tym z coraz większym stresem Magda podchodzi do dzwoniącego telefonu. Podnosi słuchawkę. Chwila ciszy. „Naprawdę? To niemożliwe! Tak się cieszę! Ale czy jest pani pewna, że to o mnie chodzi? Tak się cieszę!” Radość. Łzy. Zdumienie. Ciężko słowami wyrazić uczucia. W życiu możliwe są nawet te najbardziej nieprawdopodobne rzeczy, trzeba tylko wierzyć.

Dzięki temu stypendium Magda wyrusza w kolejną podróż życia. Miasto Gdańsk, Kapituła Stypendialna i twórca stypendium Pan Prezydent Paweł Adamowicz stają się doktorem Wydrą. Robią cesarskie cięcie, podają Magdzie dłoń i otwierają okno na świat, na nowy dla niej świat.

Studia w Rostocku, medyczne studia za granicą nie są czymś łatwym. Są ciągłą nauką, pracą i wysiłkiem. Jednocześnie sprawiają naszej bohaterce tyle radości i tak ją pochłaniają, że czasami zapomina o zmęczeniu i stresie przed egzaminami. W końcu na zajęciach anatomii mogła wykorzystać wierszyk, którego nauczył ją tata. Tak jak chciała połączyć ze sobą dwie pasje. Miłość do człowieka i do języka niemieckiego. Dziedziny tak sobie dalece, a teraz tak sobie bliskie. Za granicą nie zapominała o swojej małej ojczyźnie. Z chęcią opowiada o Gdańsku i zachęca

do jego zwiedzania, co z resztą jej się udaje z bardzo dobrym skutkiem. Również zaprasza uczniów z Gdańska do zwiedzania Rostocku i uniwersytetu. Uczniowie V Liceum Ogólnokształcącego z Gdańska chętnie z tej możliwości skorzystali.

Oprócz nauki nasza bohaterka poznaje mnóstwo nowych wspaniałych ludzi, którzy pokazują jej nie tylko jak żyje się w Niemczech, ale również w innych krajach, poszerzają jej horyzonty i pokazują jak różnorodne może być życie. Ona nie pozostaje im dłużna i również opowiada o Polsce, o rodzinnym Gdańsku, o wspaniałych ludziach, których spotkała na swojej drodze.

Gdańsk to nie tylko piękne kamienice, Motława, bursztyn. Gdańsk to ludzie. To ludzie tworzą miejsca, do których chce się wracać. I takim miejscem jest rodzinne miasto tej dziewczynki. Zawsze chętnie o nim mówi i opowiada, jeszcze chętniej tu wraca. To wspaniałe miejsce. Jeśli chcesz, by było ono piękne, Drogi Czytelniku, sam musisz być piękny, bo to właśnie Ty to miasto tworzysz. Ty jesteś jego częścią i Ty za nie odpowiadasz. Magdalena Barbara, jak nazwali ją rodzice, jest dumną gdańszczanką. Jest dumna, że są tu ludzie, którzy otworzyli jej oczy i pokazali okno na świat, którzy pokazali, że tu nie ma granic, a jeśli się pojawią to z ich pomocą można je zawsze pokonać.

Gdańsk bez granic: woda, 60% masy ciała i specjalne miejsce w sercu

Zamykam oczy i biorę głęboki oddech. Czuję zapach wody i soli, która delikatnie szczypie i oczyszcza moje drogi oddechowe. Wydycham powietrze. Na twarzy czuję orzeźwiający powiew i delikatne promienie słońca. Kolejny wdech. Słyszę szum wody, szmery rozmów i śmiechy ludzi przechodzących dookoła. Wydech. Pod stopami czuję ciepły, nagrany piasek. Ostatni wdech i otwieram oczy. Jestem nad oceanem w Portugalii, jestem w New Jersey w Stanach Zjednoczonych. Jestem na plaży w Barcelonie i Normandii, na wybrzeżu w Rzymie, w Karlskronie, na wyspie na Krecie i Malcie. Jestem nad wodą, jestem w domu, jestem w Gdańsku.

Moje pierwsze wspomnienie, mam 4 lata, jak się dużo później dowiedziałam. Jesteśmy na kempingu we Włoszech, w okolicach Rzymu. Bawimy się z siostrą w malutkim baseniku z wodą po kostki, ale ja chcę do basenu dla dorosłych! Tata mnie wziął. Nie byłam w stanie dostrzec dna i byłam cały czas trzymana przy brzegu. Mimo to, te kilka minut musiało wzbudzić we mnie na tyle silne emocje, że zachowałam to wspomnienie po dziś dzień. Już wtedy wiedziałam, gdzieś głęboko w sercu, że woda odegra znaczącą rolę w moim życiu.

Mam 5 lat, idę z rodzicami pod rękę szukając wolnego miejsca na brzeźnieńskiej plaży. Piasek, który dostał się do butów ociera moje małe

6 Wyróżnienie w konkursie ogłoszonym przez Prezydenta Miasta Gdańska: „Gdańsk, moje miejsce bez granic”, 2015

stópki. Plecaczek z wiaderkiem i łopatką ciąży w dół, ale rodzice dalej przedzierają się w poszukiwaniu tego, najlepszego miejsca. Nie potrafię zrozumieć, każde miejsce jest dla mnie tak samo dobre. Po kilku kolejnych minutach znajdujemy miejsce niedaleko brzegu i rozbijamy swój „obóz”. Rzucam łopatkę i biegnę do wody, czuje jak piasek twardnieje a buzia śmieje mi się na widok fal i... przebieram nóżkami w powietrzu złapana przez tatę – krem przeciwsłoneczny. Najgorsza irracjonalna tortura każdego wyjścia na plażę. W pełni gotowa rozpoczynam zabawę, tym razem z siostrą czuwającą u boku. Trzy odważne kroki w przód i sprint uciekając przed falami, tak przez całe dnie. W przerwach zajadamy drożdżówki od Szydłowskiego i budujemy zamek z piasku. Powstaje budowla godna dwóch dziewczynek, przyszłych inżynierów, oraz dumnego taty, pana inżyniera. Nasz talent zostaje dostrzeżony przez fotografa i następnego dnia kupujemy Dziennik Bałtycki, i oglądamy nasze buzie uwiecznione na tle zamku z piasku.

Przede mną słupek i 25 metrów do drugiego brzegu. Mam 9 lat, jestem w Ciechanowie na mistrzostwach pływackich. Na trybunach cały klub pływacki, trener oraz rodzice. Pierwszy gwizdek, podchodzę do słupka, zanurzam ręce w zimnej wodzie i ochlapuję okolice serca i szyi. Drugi gwizdek, wchodzę na słupek, nagle mój świat zmniejsza się do linii na dnie basenu i spokojnie falującej wody. Trybuny cichną. „Na miejsca” i wystrzał! Ciało spina się mięsień po mięśniu i odbija się od słupka z całych sił. Jestem w wodzie. Teraz liczy się tylko drugi koniec basenu. Ręce przesuwają się milimetry nad taflą wody. Wdech, i wyyyyyydech. Obie ręce uderzają w ściankę basenu, pora się rozejrzeć. TAK! Czuję się jakbym wygrała olimpiadę! Zmysł słuchu wraca, słyszę ryk na trybunach i widzę machających rodziców. Kto może marzyć o wspanialszym osiągnięciu sportowym niż przepłynięcie 25 metrów basenu. Zimny medal dotyka mojej skóry, to pierwszy do nowo rozpoczętej kolekcji.

Stoję na wadze, ale nie byle jakiej wadze. Pokazuje ile kilogramów mojego ciała to woda. Jestem w ludzkim ciele, na wystawie w Muzeum Historii Naturalnej w Londynie. Mam 12 lat, odkrywam anatomię człowieka i znaczenie wody dla jego organizmu. Przechodzę z organu do organu, krętymi ścieżkami przewodu krwionośnego i pokarmowego. Przeciskam się przez ludzi w drodze do mózgu, centrum dowodzenia. Jak to możliwe, że taka mała, pokarbowana maź, w większości składająca się z wody doprowadziła do stworzenia naszej cywilizacji. Jak to możliwe, że

połączenia nerwowe to tylko prąd przepływający pomiędzy komórkami nerwowymi, a jednak pozwalają mi one zastanawiać się nad ich działaniem. Tyle pytań, a tak mało czasu na szukanie odpowiedzi. Rodzice znaleźli mnie, nareszcie. Mogę im pokazać czemu ja mam zielone oczy, a moja siostra niebieskie.

Mam 15 lat, a nigdy wcześniej nie pływałam na żaglówkach. To niedopatrzenie zaraz się zmieni. Przeciskam się do kajuty 6 osobowej żaglówki ze znajomymi z liceum. Odbijamy od brzegu w Ostródzie i rozpoczynamy nasz 5 dniowy wyjazd szkolny na Mazury. W planie żeglowanie i matematyka. Białe żagle powiewają na wietrze, a ja siedzę na dziobie. Siedząc na dziobie, mam poczucie całkowitej wolności. Wiatr rozwiewa mi włosy. Z pewnością jeszcze tu wrócę.

Kap, kap, kap, krople deszczu uderzają w okno mojego pokoju. Typowa, jesienna pogoda w Gdańsku. Kubek ciepłej herbaty i Delicje stoją na stole obok komputera. Ja, owinięta w ciepły koc buszuję po Internecie. Mózg filtruje ogrom informacji. „Ding” – nowy email. W domu, piętro niżej Tata również surfuje po Internecie i znalazł coś godnego podzielenia się. Jeszcze nie wiem, że kilka miesięcy później z powodu tego linku zdecyduję się na aplikowanie na studia do Stanów. Że to deszczowe popołudnie zmieni moje życie.

Głowa pulsuje mi od natłoku przetwarzanych informacji. Mam 18 lat, jest ciepły wieczór, jestem w Hoboken, New Jersey. To mój pierwszy tydzień w Stanach Zjednoczonych, pierwszy tydzień studiów i samodzielnego życia. Stres związany ze zmianą języka i środowiska odchodzi dopiero wieczorami kiedy siedząc na ławeczce patrzę na drugą stronę rzeki. Widzę podświetlony Nowy Jork, centrum świata, najznakomitsza metropolia, marzenie od dziecka. Nie mogę uwierzyć, że mi się udało, że spełniam największe marzenie. Tysiące migoczących świateł nowojorskich tworzy nierealny magiczny obraz. Nigdy nie napatrzę się na ten widok, chyba nigdy nie znudzę się tym tętniącym życiem miastem.

Czekam na sygnał do startu. Przede mną wyczerpujące 2000 metrów. Mam 19 lat, jestem na rzece w Filadelfii na swoich pierwszych regatach w college'u. W naszej osadzie 4+ dziewczyny, z którymi cały sezon treningowy przygotowywałam się na ten moment. W naszym rzucie obok między innymi osady z Lafayette i Penn State. Łodzie są ustawione w linii, wiosłarze napięci, sternik zamilkł. Start! „ $\frac{3}{4}$, $\frac{1}{2}$, $\frac{1}{2}$, $\frac{3}{4}$, *length in, full, POWER 10!*” Nasze ciała poruszają się swobodnie i w jednym

rytmie. Pióra chodzą równo przecinając wodę z dźwiękiem wskakujących na miejsce blokad na wiosła. "TRZYMAĆ TEMPO!" Patrzę, w pełnym skupieniu, na plecy osoby przede mną. Każda z nas ukradkiem patrzy również na konkurujące łódki. Mamy szansę! "WIOSŁOWAĆ WSPÓLNIE, PLECY WYPROSTOWANE, PATRZYMY PRZED SIEBIE!" Ciśniemy i odpuszczamy, ciśniemy i powrót. Wiatr i woda rozchłapywana przez pióra pomaga mi nie zemdleć z wysiłku przy 30 stopniowym upale na środku rzeki. Jeszcze tylko 500 metrów. Nogi palą silnym bólem, wyprostowanie pleców staje się trudniejsze z pociągnięcia na pociągnięcie, dziewczyny wychodzą z rytmu. „DALEJ DZIEWCZĘTA NASZ OSTATNI SPRINT! DAJCIE Z SIEBIE WSZYSTKO CO MACIE!” Odliczam każdy suw który przybliży nas do linii mety. Każdy jeden jest coraz silniejszy od poprzedniego. Łódka unosi się lekko na wodzie podczas gdy my synchronizujemy się w jeden, sprawnie działający organ. „OSTATNIE 10. I RAZ...I DWA...!” Dopłynęliśmy do mety! Pół długości łódki dzieliło nas od awansu do finałów, ale to się teraz nie liczy. Ukończyliśmy wspaniały wyścig. Wkładam gorące, obolałe dłonie do zimnej wody. To było wspaniałe przeżycie. Jestem gotowa na kolejny sezon, w którym zaczniesz się prawdziwa konkurencja między zawodnikami. Następnym razem pokonamy tę rzekę!

Skończyłam pierwszy rok na Stevens, przyszła pora na chwilę odprężenia i wakacje. Jestem w jednym z amerykańskich parków na granicy z Kanadą. Idziemy z mamą pod rękę obok wartkiej rzeki w kierunku szumu wody. Hektolitry wody spadają z 50 metrowego urwiska na granicy dwóch państw tworząc widok zapierający dech w piersiach. To wodospad Niagara. Tumany wody wzbijają w górę małe kropelki, które spływają mi po twarzy. Zamykam oczy i biorę głęboki wdech.

Cała przygoda rozpoczęła się prawie 20 lat temu w Gdańsku. Urodziłam się we Wrzeszczu, a wychowałam na Zaspie oraz Siedlcach. Od zawsze lubiłam spoglądać w morze z molo na wielkie statki płynące do Szwecji. Łamało to sztuczną granicę wytworzoną przez tabliczki z napisem „Gdańsk”. Te tabliczki nigdy jednak nie tworzyły dla mnie bariery, a bardziej zaznaczały moje miejsce, jak tabliczki „Home”. To dzięki temu domowi i jego możliwościom mogłam wyruszyć w świat. Ale zapachu i smaku domu się nie zapomina. Wydycham powietrze i zaczerpuję kolejną porcję tlenu. Jestem na końcu świata, w świecie, w którym nie dostrzegam już granic. Wiatr smaga moje policzki a uszy wypełnia szum

wody. Jestem wolna. Moje ciało wspomina bodźce zapamiętane z różnych miejsc świata. Dusza pędzi przez ocean, morza i rzeki. Jestem na miejscu. Jestem w domu. Jestem w Gdańsku. Otwieram oczy i widzę kanadyjską stronę monumentalnego wodospadu. Jestem gotowa na kolejny dzień i kolejne wyzwania jakie przyniesie moja przygoda.

Gdańsk, moje miejsce bez granic. Pismo w życiowej sprawie

Gdańsk, 8.06.2015

Członkowie Kapituły Stypendialnej
Stypendium im. D.G. Fahrenheita

Wydział Rozwoju Społecznego
Urzędu Miejskiego w Gdańsku
ul. Kartuska 5, 80-103 Gdańsk

SKARGA NA KAPITUŁĘ STYPENDIALNĄ

Ja, Milena Rudzińska, córka Janusza i Elżbiety Rudzińskich, legitymująca się dowodem osobistym numer XXX111111, zwracam się z prośbą o rozpatrzenie mojej skargi na Kapitułę Stypendialną przyznającą stypendia im. Daniela Gabriela Fahrenheita. Domagam się przede wszystkim zadośćuczynienia w postaci wyjaśnień i odpowiedzi na moje wątpliwości oraz pomoc dla mnie w zaistniałej sytuacji. Oczywiście zdaję sobie sprawę, że osoby, których przeżycia różnią się od moich mogą mnie nie zrozumieć, dlatego też prosiłabym o możliwie jak największą empatię.

Zanim jednak przejdę do sedna muszę pokrótce opisać kilka podstawowych faktów na temat mojej osoby, gdyż stanowią one trzon całej sprawy. Całe swoje dotychczasowe życie spędziłam w pięknej i spokojnej dzielnicy Gdańska o nazwie Wrzeszcz. Przez lata obserwowałam zmiany jakie zachodziły i nadal zachodzą w moim otoczeniu, ale moje myśli już

od wczesnych lat szkolnych wędrowały gdzieś dalej, do krajów dużo bardziej odległych. Moje pierwsze zetknięcie się z innymi kulturami rozpoczęło się od nauki języków, najpierw angielskiego, w wieku lat dziewięciu, a kilka lat później – hiszpańskiego. Pomijając wakacyjny wyjazd z rodzicami do Włoch, z którego niewiele pamiętam, moją pierwszą podróż za granicę odbyłam w szóstej klasie szkoły podstawowej. Zostałam wybrana jako reprezentant kraju na Światowy Parlament Dzieci i spędziłam niezwykle cztery dni w fińskim mieście Turku. Poznawszy w tak krótkim czasie tak wiele kultur, religii, sposobów postrzegania świata, rozbudziłam jeszcze bardziej swoją ciekawość.

Rok później rozpoczęłam trenowanie windsurfingu, połączone niezmiennie z ciągłymi wyjazdami nad wszelakie, choć trochę cieplejsze wody. Muszę przyznać, że był to nie lada przywilej, bowiem jako bardzo młoda osoba miałam okazję zobaczyć wiele europejskich krajów i poznać je z bliska. Każde regaty stanowiły dla mnie festiwal pełen barw, pełen wrażeń i przeżyć, każdy zawodnik pochodził z innego zakątka świata i reprezentował sobą zupełnie nieznaną mi rzeczywistość. Dzięki temu poza medalami i pucharami przywoziłam do domu o wiele, o wiele więcej. Wracałam z bagażem niesamowitych opowieści, wspomnień, których wartość jest nie do oszacowania. Jednakże wszystkie te wyjazdy były stosunkowo krótkie, na tyle krótkie aby nie zatęsknić, na tyle krótkie aby się nie zadowolić w nowym miejscu.

W liceum zanurzyłam się na dobre w kulturze Hiszpanii, uczęszczałam bowiem do klasy z wykładowym językiem hiszpańskim. Wtedy marzenie o studiach w tym tak odległym kraju zaczęło we mnie kiełkować. Wiedziałam jednak, że to sen niemożliwy do spełnienia. Po śmierci taty w 2006 roku, wraz z mamą i starszym rodzeństwem musieliśmy jakoś sobie radzić, nie było łatwo, a ja musiałam twardo stąpać po ziemi. Tym samym podchodziłam do sprawy z pokornym dystansem i czułam, że nie będzie mi dane studiować na Półwyspie Iberyjskim. Jednakże na horyzoncie pojawiło się światelko, które uczyniło nierealne realnym. Tutaj zaczyna się rola jaką Kapituła Stypendialna odegrała w moim życiu. To ich decyzja o przyznaniu mi stypendium sprawiła, że mogłam wyjechać do Hiszpanii i spędzić tam pięć lat nie obarczając finansowo moich najbliższych, którzy nie byłiby w stanie mi pomóc.

Jednakże rzeczywistość miała niewiele wspólnego z pierwotnymi wyobrażeniami, o czym nie zostałam poinformowana wcześniej przez

osoby światłe i bardziej ode mnie doświadczone. Tym samym jestem zmuszona obarczyć członków Kapituły współodpowiedzialnością za mój pobyt w Hiszpanii, uznając ich oczywisty współdziałanie w mojej decyzji o wyjeździe. Jednocześnie uważam Kapitułę za współwinną konsekwencji jakie mój wybór pociągnął za sobą. Zaznaczę przy tym, że gdyby mój wniosek o stypendium został rozpatrzony negatywnie, nie miałabym możliwości wyjechać i spędziłabym spokojne lata studiując w rodzinnym mieście, uniknąwszy wszelkich trudności związanych z wyjazdem za granicę. Mam wrażenie, że Kapituła Stypendialna nie wykorzystała okazji, aby przestrzec mnie i odradzić zbyt pochopne działania. Nikt mnie nie ostrzegął do jakiego stopnia zmieni się moje życie i jak bardzo zostanie naznaczone tym pięcioletnim wyjazdem. Nie mogę pozostać obojętna wobec tej jawnej dezinformacji. Na poparcie słuszności mojej skargi przygotowałam szereg argumentów, które w moim przekonaniu świadczą same za siebie.

Wyjechałam do Hiszpanii w 2010 roku. Już pierwsze kilka tygodni pokazało mi, że to kraj, który ma niewiele wspólnego ze swoim stereotypowym obrazem. Oczywiście część faktów po części się zgadzała, ale zawsze okazywały się one w dużej mierze wypaczone. Rozpocznę może od rzeczy z pozoru błahych, ale jednocześnie utrudniających normalne funkcjonowanie w Polsce.

Pierwszym aspektem, który pragnę omówić jest klimat. Każdy kto był na Półwyspie Iberyjskim w sezonie wie z jakimi temperaturami trzeba się liczyć planując wyjazd do tego kraju. Tymczasem region w okolicy Walencji nazywany jest *patelnią Hiszpanii* nawet przez tubylców. W konsekwencji podczas moich bożonarodzeniowych przylotów do Polski musiałam liczyć się z amplitudą temperatur sięgającą trzydziestu stopni Celsjusza. Tego nawet mój zahartowany organizm nie był w stanie wytrzymać. Często spędzałam czas w Gdańsku zakatarzona i kaszląca.

Jednakże dużo większy dysonans napotkałam jeżeli chodzi o ludzi. Hiszpanie bowiem są na ogół uśmiechnięci od ucha do ucha, ale jednocześnie mało słowni i trudno coś z nimi rzeczowo załatwić. Poprawka, trudno coś z nimi załatwić na c-z-a-s. Tutaj słynne *mañana* funkcjonuje w pełni, czego z kolei nie rozumie nikt w Polsce kiedy zajdzie potrzeba przedstawienia jakichkolwiek dokumentów. Weźmy na przykład dyplom ukończenia studiów. Przy najlepszych chęciach można go otrzymać po kilku miesiącach, a na Europejski Suplement Dyplomu nadal czekam

i z całą pewnością sytuacja ta się nie zmieni w chwili rozpatrywania tego wniosku. Szeroko rozumiana punktualność zdecydowanie nie jest cechą hiszpańską. Piętnaście minut spóźnienia to absolutne minimum, za które absolutnie nikt się nie obraża. Jakżeby mógł, skoro wszyscy o tym wiedzą, wystarczy pojawić się kwadrans później uniknąwszy tym samym nieprzyjemności czekania. Wszystko byłoby w porządku gdybym przebywała wyłącznie w granicach Hiszpanii, jednakże kiedy wracam do Polski oczekuje się ode mnie przybywania na czas, a ja z przyzwyczajenia, już zupełnie podświadomie pojawiając się piętnaście po.

Kolejną diametralną różnicą jest bezpośredniość w kontaktach z innymi. Hiszpanie nie do końca wiedzą czym jest oficjalne spotkanie, oficjalny język, mogą pokusić się o stwierdzenie, że słowo *oficjalny* stało się swego rodzaju anachronizmem, a przynajmniej pojęciem absolutnie nie związanym z hiszpańską naturą. W efekcie po kilku latach zwracania się do nauczycieli, profesorów, dziekana po imieniu czuję rozdwojenie jaźni kiedy wracam do kraju i staram się być *nadoficjalna* w hiszpańskim rozumieniu.

Język to kolejny problem. W momencie gdy personalne notatki pisane są w dwóch językach na raz, myśli stają się bilingwalne, a w rozmowie ze znajomymi z Polski wymykają się isticie niepolskie słówka ciężko oprzeć się wrażeniu, że zamiast nauczyć się porządnie drugiego języka, człowiek przestał mówić jakimkolwiek. Tyczy się to zarówno sytuacji kiedy w Galerii Bałtyckiej mówimy *gracias* do miłego sprzedawcy, czy bąknijemy *cześć* do absolutnie nierozumiejącej polskiego koleżanki z ławki.

Wszystkie te czynniki, wraz z wieloma, wieloma innymi sprawiają, że czuję się nieustannie zawieszona pomiędzy dwoma tak różniącymi się od siebie światami. W moim aktualnym położeniu muszę uciec się do tak drastycznych środków jak niniejsza skarga. Bowiem poza wyszczególnionymi powyżej powodami mojego niewygodnego położenia jest kilka innych, dużo bardziej znaczących.

Decyzją Kapituły Stypendialnej otrzymałam stypendium i wyjechałam do Hiszpanii. Dzięki temu poznałam zupełnie inną kulturę tylko po to, abym przekonała się jak mało jeszcze wiem o własnej. Dzięki temu zaczęłam zwiedzać tak odległy kraniec Europy jakim jest Półwysep Iberyjski tylko po to, aby odkryć w jak niewielkim stopniu znam własne podwórko, gdańskie i polskie zakamarki. Dzięki temu mogłam poznać tyłu wspianiałych ludzi, z tak wielu krajów, tylko po to, aby musieć się

z nimi rozstać i mieć ich tak daleko od siebie. Dzięki temu wyjechałam za granicę tylko po to, aby upewnić się jak bardzo kocham własny kraj, miasto, dzielnicę, dom. Najgorsze jest to, że gdzieś tam, w akademiku na Plaza Horno de San Nicolas 4, również znalazłam swoje miejsce. Granica między Walencją, a Gdańskiem zatarła się kompletnie, dla mnie – nie istnieje. To piękne lecz smutne, bo przecież nie mogę być w dwóch miejscach jednocześnie. W ten sposób pod walencką katedrą chciałabym zobaczyć kościół Mariacki, a siedząc w kawiarni na Piwnej marzą mi się hiszpańskie przystawki. Bo wszędzie dobrze tam, gdzie nas nie ma. Może gdybym została w Polsce uniknęłabym siedzącej głęboko we mnie nostalgii? Może żyłabym sobie spokojnie w mojej małej ojczyźnie nie tęskniąc za niczym i nikim tak oddalonym kilometrami i tak bliskim jednocześnie? Może byłabym szczęśliwsza, bo nie szargałyby mną tak ambiwalentne uczucia? Może wszystko byłoby o wiele łatwiejsze? A może nie?

Wniosek przekazuję do rozpatrzenia samej Kapitulie Stypendialnej, licząc na umiejętność jej członków do samokrytyki i pełnego obiektywizmu.

Z wyrazami szacunku,
Milena Rudzińska

Gdańsk, moje miasto wolności

Gdańsk zawsze wiązał się dla mnie z wolnością: najpierw historyczną, później – osobistą. Kilka lat temu marzenia o studiach na prestiżowej, zagranicznej uczelni były w mojej głowie na równi z marzeniami o super mocach lub dobrze pasujących okularach przeciwsłonecznych – absolutnie nieosiągalne. O tym, że mogłabym ubiegać się o Stypendium Fahrenheita, dowiedziałam się stosunkowo późno – w drugiej klasie liceum. Moje marzenie – studiowanie psychologii na uczelni o światowej reputacji – miało szansę się spełnić. W czasie wakacji nawiązałam korespondencję z kilkunastoma uniwersytetami. Wszystkie wymagały ode mnie zdania matury z biologii (lub innego przedmiotu ścisłego) na poziomie rozszerzonym. Jako uczennica klasy o profilu humanistycznym postanowiłam więc nauczyć się trzyletniego materiału z biologii w rok i zdać maturę na 80%. Dzięki osiągnięciom z Olimpiady Literatury i Języka Polskiego oraz mojej wspaniałej polonistce udało mi się uzyskać indywidualny tok nauki z języka polskiego, co pozwoliło mi poświęcić więcej czasu na naukę biologii. Uczylałam się w pociągu do szkoły, na lekcjach, przerwach, w czasie posiłków, nawet na siłowni (dziękuję wam, audiobooki!) Rodzina patrzyła na mnie dziwnie podczas Bożego Narodzenia, gdy zaczęłam porównywać choinkę do układu nerwowego. Pierwszą próbną maturę pisałam, nie opowawszy nawet połowy materiału: 45%. Załamana, poprosiłam nauczycielkę biologii o kolejną szansę i po kilku miesiącach udało mi się napisać kolejną na 90%. Właściwą maturę napisałam na nieco ponad 80% – spełniłam warunki wszystkich uczelni, na które aplikowałam.

Zdecydowałam się studiować na University of Birmingham, jako że bardzo zależało mi na tym, żeby uczyli mnie światowi eksperci w swoich

dziedzinach – psychologia w Birmingham jest zaś pod tym względem na równi z uczelniami na Oxfordzie i Cambridge.

Niedługo później obudził mnie telefon z wiadomością, że przyznano mi Stypendium im. Fahrenheita – była to jedna z najpiękniejszych chwil w moim życiu. Pod koniec września przyleciałam do Birmingham. Pokochałam mój uniwersytet od pierwszego wejrzenia. Pokochałam Starego Joe – najwyższą wolnostojącą wieżę zegarową w Europie, za to, że kiedy w pierwszych tygodniach studiów gubiłam się z koleżanką, tarcza zegarowa była jak Gwiazda Polarna, wskazując nam drogę. Pokochałam stare, ceglane budynki – przypominały mi gdańską architekturę i pozwoliły mi się poczuć w nowym miejscu jak w domu. Każdy angielski uniwersytet może poszczycić się setkami niesamowitych lub nieco mniej dziwnych klubów studenckich: od Klubu Doceniających Herbatę, przez Obserwatorów Gwiazd, po Klub Harry’ego Pottera. Moja miłość do słowa pisanego popchnęła mnie do założenia wraz ze znajomym polskim studentem polskiej sekcji popularnego studenckiego periodyku kulturalnego *The Linguist Magazine*. Za każdym razem, kiedy publikowałam kolejne artykuły o Polsce i Gdańsku, dostawałam wiadomości od studentów niezwiązanych z Polską – o tym, że zainspirowała ich sztuka Beksińskiego lub, nieco bardziej przyziemnie, z pytaniami gdzie mogą zakupić gdańską wódkę Goldwasser (w końcu każdy szanujący się student potrzebuje i igrzysk, i chleba).

Przedmioty, których uczyłam się na pierwszym roku studiów, skupiały się głównie na biologicznym aspekcie działania mózgu i statystyce. Od wykładowców-badaczy biła autentyczna miłość do przedmiotu, którego uczyli: normalnym było grupowe wyjście na powykładową kawę, żeby przedyskutować interesujące części wykładu z profesorem. Każdy student został także przydzielony do personalnego oraz akademickiego mentora, do którego można napisać z każdym pytaniem. Zaczęłam też pracować z badaczami – na początku wykonywałam zadania, których równie dobrze mógłby podjąć się dobrze wytrenowany szympan. Z czasem moje obowiązki zamieniły się w skomplikowane wyzwania, takie jak zarządzanie ogromnymi bazami danych czy analiza skanów z funkcjonalnego magnetycznego rezonansu jądrowego. Dzięki projektom badawczym stawałam się coraz bardziej zafascynowana skomplikowanymi mechanizmami działania ludzkiego umysłu. W tym czasie narodził się w mojej głowie pomysł na Dni Nauki – imprezę, która pozwoliłaby dzielić

się stypendystom fascynującą wiedzą z dziedzin, które studiują, z gdańską młodzieżą, i rozbudzić w nich pasję do nauki. Żeby przekuć pomysł w praktykę, napisałam do Centrum Hewelianum, które od razu zgodziło się na mój pomysł i pomogło go sprecyzować. Pierwsza edycja Dni Nauki odbyła się pod koniec września zeszłego roku i okazała się małym sukcesem, mimo, że odbyła się na początku roku szkolnego, kiedy wiele szkół nie organizowało jeszcze wyjść.

Drugi rok studiów wykorzystywałam budując na tym, co osiągnęłam podczas pierwszego – pracowałam przy coraz bardziej wymagających projektach badawczych (choć niektóre wymagały ode mnie patrzenie godzinami na ludzi łowiących plastikowe kaczki za pomocą wstążek i taśmy klejącej), więcej pisałam, oraz uczęszczałam na dodatkowe przedmioty, które rozwijały moje umiejętności takie jak przywództwo, kreatywność, czy praca w grupie. Dzięki temu udało mi się w tym roku otrzymać Personal Skills Award, nagrodę przyznawaną studentom rozwijającym umiejętności przydatne w niemal każdym zawodzie. Co ważniejsze, udało mi się zdobyć na zajęciach wspólnych przyjaciół. Na wiosnę odbyła się druga edycja Dni Nauki w Centrum Hewelianum – w zajęciach wzięło udział niemal trzystu uczniów. Wielu z nich jechało do Gdańska kilka godzin tylko po to, żeby posłuchać nas – stypendystów – mówiących o tym, co nas fascynuje. Nauczyło mnie to, że każdy pomysł można rozwinąć we wspólną inicjatywę, która może potencjalnie zmienić czyjeś życiowe plany, a na pewno, ku uciesze Ignacego Krasickiego, „uczyć i bawić”. Kilka tygodni temu wykładowca Biomechaniki i Ruchu z Departamentu Sportu na mojej uczelni, dr Sang-Hoon Yeo, zaproponował, abym prowadziła projekt badający ruch gałek ocznych podczas zmiany perspektywy z pierwszej do trzeciej osoby. Wyniki tego projektu mogą mieć znaczący wpływ na gry komputerowe czy strategie marketingowe. Aby przeprowadzić projekt, otrzymałam od uniwersytetu grant badawczy na te wakacje. Przygotowuję się też z Centrum Hewelianum do trzeciej edycji Dni Nauki.

Dziękuję, Gdańsku! Dzięki tobie spełniam swoje największe marzenia.

Stypendyści Fahrenheita **– biogramy autorów**

Magdalena Bielecka (1994) szkołę średnią ukończyła w 2013 roku – V Liceum Ogólnokształcące w Gdańsku.

Jest stypendystką Stypendium Prezydenta Miasta Gdańska im. G. D. Fahrenheita od roku 2013, kiedy rozpoczęła studia w Instytucie Translatoryki na Uniwersytecie Wiedeńskim (kierunek: komunikacja transkulturowa).

Studiując, rozwija swoje zainteresowania skoncentrowane wokół języków obcych oraz kultury krajów anglo- i niemieckojęzycznych, a także pogłębia swoje umiejętności lingwistyczne i metakomunikacyjne.

Po studiach ma zamiar podjąć pracę związaną z komunikacją transkulturową w organizacji pozarządowej.

Samuel Kozłowski (1994), absolwent III Liceum Ogólnokształcącego w Gdańsku, rocznik 2013.

Od tegoż roku stypendysta Fahrenheita i student matematyki na Uniwersytecie w Cambridge.

Po krótkim romansie z fizyką i matematyką stosowaną, obecnie jego obiektem zainteresowań jest szeroko rozumiana matematyka czysta.

Marzą mu się studia magisterskie z matematyki na swojej uczelni i nie śmie wybiegać myślą dalej w przyszłość.

Daniel Krajnik (1994), szkołę średnią ukończył w roku 2013 – III Liceum Ogólnokształcące w Gdańsku.

Jest stypendystą Fahrenheita od roku 2013, kiedy rozpoczął studia w zakresie sztuk stosowanych (kierunek: architektura) w Cardiff University.

Studiując, rozwija swoje zainteresowania skoncentrowane wokół zastosowań programowania komputerowego w procesie projektowania architektonicznego.

Po studiach ma zamiar pracować w biurze architektonicznym i dalej rozwijać swoje umiejętności jako projektant.

Patrycja Łapińska (1994), szkołę średnią ukończyła w roku 2014 – XV Liceum Ogólnokształcące im. Zjednoczonej Europy w Gdańsku.

Jest stypendystką Fahrenheita od roku 2014, kiedy rozpoczęła studia językowe (kierunek: Translatoryka i Interpretacja) na Uniwersytecie Pompeu Fabra w Barcelonie.

Studiując, rozwija swoje zainteresowania skoncentrowane wokół języków obcych i problematyki tłumaczenia i interpretacji.

Po studiach licencjackich ma zamiar kontynuowania nauki i podjęcia pracy jako tłumacz w kombinacji językowej: polski, francuski, angielski, hiszpański i kataloński.

Magdalena Mastykarz (1993), szkołę średnią ukończyła w roku 2013 – II Liceum Ogólnokształcące w Gdańsku.

Jest stypendystą Fahrenheita od roku 2013, kiedy rozpoczęła studia w zakresie nauk medycznych (kierunek: medycyna, lekarski) w Universität Rostock.

Studiując, rozwija swoje zainteresowania skoncentrowane wokół medycyny człowieka oraz postępu technologicznego w diagnostyce radiologicznej.

Po studiach ma zamiar podjąć pracę jako lekarz specjalista i kontynuować swoją naukę związaną z poznawaniem technik diagnostycznych w medycynie. Myśli o doktoracie w Universität Rostock.

Anna Petrucznik (1995), szkołę średnią ukończyła w roku 2014 – Gdańskie Liceum Autonomiczne.

Jest stypendystką Fahrenheita od roku 2014, kiedy rozpoczęła studia na kierunku Inżynierii Elektrycznej na Stevens Institute of Technology.

Studiując, rozwija pasję do matematyki teoretycznej, elektroniki oraz szachów.

Po studiach planuje poznać świat poprzez podróże, a potem rozpocząć pracę w zakresie projektowania i programowania elektroniki oraz

systemów wbudowanych. Myśli o zaangażowaniu się w badania naukowe dotyczące komputerów kwantowych i ich algorytmów.

Milena Rudzińska (1991), szkołę średnią ukończyła w 2010 roku – XV Liceum Ogólnokształcące w Gdańsku.

Była stypendystką Fahrenheita od 2010 do 2015 roku, studiując najpierw Historię Sztuki, a później na kierunku Dziedzictwo Kulturowe: Identyfikacja, Analiza i Zarządzanie, obydwie na Uniwersytecie w Walencji.

W 2015 roku rozpoczęła studia doktoranckie z Historii Sztuki na Uniwersytecie Gdańskim i ma nadzieję pogodzić pracę naukową ze swoją pasją do języków, a zna ich kilka, poza hiszpańskim i angielskim uczy się włoskiego i francuskiego.

Jest przy tym osobą niezwykle aktywną, uprawia liczne sporty, działa m.in. w teatrze oraz w Muzeum Narodowym w Gdańsku.

Agnieszka Rzeźniowiecka (1994), szkołę średnią ukończyła w roku 2013 – III Liceum Ogólnokształcące w Gdyni.

Stypendystką Fahrenheita jest od roku 2013, kiedy rozpoczęła studia na kierunku psychologia na Uniwersytecie w Birmingham.

Na studiach rozwija wiedzę na temat struktury, funkcji i biochemii ludzkiego mózgu.

Po studiach licencjackich ma zamiar ukończyć studia magisterskie w zakresie neuronauki lub psychologii. Przyszłość wiąże z nauką oraz z Gdańskiem.

MIASTO GDAŃSK

i Kapituła Stypendialna Stypendiów Naukowych
Prezydenta Miasta Gdańska im. Gabriela Daniela Fahrenheita

Gdańsk, dnia 24 lutego 2015 roku

ODEZWA KONKURSOWA

W związku z jubileuszem 10-lecia Stypendiów Naukowych Prezydenta Miasta Gdańska im. Gabriela Daniela Fahrenheita, Kapituła Stypendialna zwraca się do Stypendystów wszystkich dziesięciu edycji, ogłaszając finansowany przez Miasto Gdańsk

KONKURS

na pisemną, wyrażoną w języku polskim oraz angielskim
wypowiedź o charakterze biograficznym pt.:

Gdańsk, moje miejsce bez granic

Gdańsk, my place with no border

Laureaci Konkursu otrzymają nagrody i wyróżnienia

Prace prosimy przesyłać do dnia **8 czerwca 2015 roku**,
drogą elektroniczną z tytułem maila *Praca konkursowa*,
na adres: bogumila.bieniasz@gdansk.gda.pl

Organizator Konkursu, przy zachowaniu praw Autorów do swoich
tekstów, zastrzega sobie prawo do ich upowszechniania.

Prace konkursowe będą stanowiły przedmiot analizy jurorskiej – ze
strony Kapituły - oraz naukowej, dokonywanej przez Zespół Badawczy
pod kierownictwem prof. dr hab. Marii Mendel. W wyniku analiz
nastąpi rozstrzygnięcie Konkursu i zostaną wyłonieni jego laureaci,
a także zostanie opublikowana książka, zawierająca wybrane prace
konkursowe.

Ogłoszenie wyników Konkursu i uroczystość wręczenia nagród
Laureatom odbędzie się w drugiej połowie
2015 roku.

Przewodniczący Kapituły
Prezydent Miasta Gdańska
Paweł Adamowicz